

WIES

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 2 listopada 1947 r.

Nr 42 (121)

Wiesław Jażdżyński

G A U D E A M U S

(O tradycjach wychowawczych w gimnazjach i uniwersytetach)

Niedawno odbyły się w miastach uniwersyteckich uroczystości otwarcia nowego roku akademickiego.

Z przemówień I. M. Rektorów i przedstawicieli władz można wnosić, że problem społecznej postawy polskiego akademika jest nadal otwarty, choć mija już trzeci rok od chwili odzyskania niepodległości.

Płyną więc lata a nasze średnie i wyższe uczelnie produkują nadal typ młodzieży — odwrócony od zagadnień społecznych, często wrogi wobec zasług w rezultacie wojny przemian w społeczno-gospodarczej strukturze kraju.

Kiedy dziś — dla usunięcia zła — dyskutuje się bezmała trzy lata nad problemem nowej organizacji kultury, pojętej jako funkcji zmienionego ustroju społecznego i gospodarczego państwa i przeprowadza się w związku z tym reorganizację szkolnictwa wszystkich stopni w kierunku nadania mu uspołeczniającego charakteru oddziaływania na młodzież — warto przypomnieć, po pierwsze: tradycje wychowawcze gimnazjów ogólnokształcących, po drugie: te same tradycje obowiązujące na przedwojennych wyższych uczelniach, nie bardzo chyba mimo prowadzonych dyskusji zmienione, skoro problem społecznej postawy młodzieży akademickiej jest jeszcze nadal otwarty.

W GIMNAZJUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCYM

W ostatnich latach przed wybuchem wojny dokonał dr M. Falski analizy społecznego pochodzenia młodzieży uczęszczającej do szkół niższego, średniego i wyższego stopnia. Sporządzone tabelka („Kultura i Wychowanie” Nr 5, 1938 r.) wykazuje, że na każdych 100 uczniów rozpoczynających naukę docierało do I klasy gimnazjum nowego typu uczniów:

A. Warstwy zaможne i wykształcone	63,0 uczniów
W tym więksi przedsiębiorcy w przemyśle i handlu	62,8 „
wolne zawody	86,1 „
urzędnicy publiczni	67,8 „
B. Mniejsi przedsiębiorcy	11,1 „
C. Rolnicy od 5 do 50 ha	3,1 „
D. Rolnicy do 5 ha	1,0 „
E. Niżsi funkcjonariusze	22,2 „
F. Robotnicy fabryczni i służba domowa	2,9 „
G. Robotnicy rolni	0,6 „

Najliczniejsze klasy społeczne, jak to z tabeli wynika — chłopcy i robotnicy, stanowiący ponad 70 proc. narodu nie miały nawet 8 proc. swojej młodzieży w gimnazjach przedwojennych. „Indywidualne zainteresowania i charakterystyczne postawy jednostek nie odgrywały na terenie szkolnictwa bardziej istotnej roli. Ruch ten sprowadza się zasadniczo do selekcji społecznej uwarunkowanej organizacją naszego szkolnictwa i całym układem stosunków społeczno-gospodarczych” — pisał M. Falski.

Dla chłopskiej i robotniczej młodzieży pozostawało niższe szkolnictwo zawodowe i nieliczne kursy fachowe, rzadko kiedy średnia szkoła techniczna czy przemysłowa.

Jakże wyglądał stosunek szkół średnich do zawodowych przed wojną?

W latach 1938—39 mieliśmy 789 gimnazjów ogólnokształcących z 234,200 młodzieży, podczas gdy kursów i szkół zawodowych niższego oraz średniego stopnia było razem 717 z 90,800 młodzieży.

Tak więc młodzież pochodząca ze „sfer” ziemiańskich, fabrykantów, wyższych urzędników publicznych i tzw. wolnych zawodów stanowiła większość nawet w średnich szkołach zawodowych, przede wszystkim jednak wypełniała prawa całkowicie gimnazja ogólnokształcące, gdzie parowała określona atmosfera wychowawcza. Oto jej elementy:

a. „Polska mocarstwowa”

„Szczęśliwy jest los poetów dzisiejszego dnia — pisał Stefan Żeromski („Elegie”). — W ich oczach Polska — sen kości rozsiąanych po okręgu ziemi — niezwykłym mocarstwem się staje... Koń jeźdźca narodowego grzany ogniem zwycięstwa nad Moskwą, w Niemnie — Wilni wodę pije”.

Wypada tu powtórzyć pewną legendę. Polskę powstałą po pierwszej wojnie światowej wskrzesił odwieczny duch narodu, ten sam, który zwyciężał pod Obertynem, Pskowem, Chocimem i Beresteczkiem. Po 100-letniej przerwie podejmuje naród na nowo tę samą

misję dziejową przedmurza kultury rzymskiej i ma ją nieść na wschód Europy. Nie udało się wprawdzie próba zagarnięcia całej Ukrainy, przy pomocy Petlury i nie odkwitły ziemiańskie folwarki na pszennej ziemi. Ale p. Dunin-Koziecki w zakończeniu książki o dziejach ziemianstwa polskiego na Ukrainie podczas rewolucji bolszewickiej — powie: my tam wrócimy!

W sytuacji międzynarodowej głosili hetmani Polski mocarstwowej hasła całkowitej samodzielności politycznej, szczególnie wobec dwu wrogów: Związku Radzieckiego i Niemiec.

Samodzielność gwarantowała silna armia, gotowa natychmiast odeprzeć wroga. Opierała się ona o piechotę — „królów broni” i kawalerię, której tradycje wyprowadzało się z husarii króla Jana, broniącej Europy rzymskiej przed zalewem barbarzyństwa.

Ta część oficjalnie głoszonych haseł „Polski mocarstwowej”, oddziaływała na młodzież gimnazjalną w pożądanym kierunku. Twórcy legionowej legendy zostali zaakceptowani.

„Wy stać będziecie na wyniesieniu wizerunku. Wstąpiłicie na ołtarz — przez Naród cały czczeni... Zostanie po wszelkie czasy żywy i mocen rozkazywać głos Wodza, który Was wiodł do Czynu a nad nami: hetmańska waga króluje buławą...” („Młodzi Idą” — Kielce, 1938 r.).

Postacie obu Marszałków II-iej Rzeczypospolitej stały się wzorami cnót osobistych i obywatelskich — jak to się wtedy mówiło, — na których kształtować się miała społeczna postawa młodzieży. Konkursy na „najlepiej pojęte” życiorysy obu Wodzów urządzaly szkolne pisma b. często („Młody Nurt”, Warszawa, I. IV. 1939), nagradzane przez ministerstwo oświaty.

Młodzież wierzyła w potęgę militarną przedwojennej Polski, opartą o piechotę i kawalerię.

„Rozwój broni silnikowych, mających jako ochronę mocny pancerz stalowy, miał się stać, według fałszywego proroctwa niektórych doktrynerów i zaślepienców zagranicznych, grobem piechoty. Na szczęście dla piechoty poglądy takie były niekrotne i trwały dość krótko... Tam, gdzie zawodziły takie czy inne maszyny, gdzie stajały bezsilne motory, piechur idzie, piechur walczy...” („Młody Nurt” — 1938).

Młodzież akceptowała także entuzjastyczne posunięcia polityczne swoich przedwojennych wodzów.

Kiedy 2. X. 1938 zajmowali polscy ulani Zaozle, specjalny wysłannik „Młodego Nurtu” patrzył z pogardliwym współczuciem na rozpaczliwe słowo afisza — „Vytvrte!”, które pisał padający naród słowiański.

Korespondent czołowego pisma polskiej młodzieży gimnazjalnej napisze: „teraźniejsza rzeczywistość dokonywaliśmy czynem mniej materialnym a więcej tym, którego zarodki tkwią w najgłębszych tajnikach duszy. Zwyciężyła prawda!”

Tak więc wyglądała prawda w „Polsce mocarstwowej”, tkwiąca w najgłębszych tajnikach duszy młodzieży.

Warto spytać jaki to ustrój gospodarczo-społeczny odnowił legendę Polski — przedmurza chrześcijaństwa, nadał jej pozory siły militarnej i opromienił sukcesami na bratnim narodzie słowiańskim?

Był to ustrój liberalno-kapitalistyczny, oparty w końcu 1938 roku o 171 karteli krajowych i 100 międzynarodowych; w ustroju tym zcierało się w „wolnej konkurencji” 1066 spółek akcyjnych, obejmujących wszystkie gałęzie produkcji przemysłowej i wyminy. Liczba nowo założonych spółek wzrosła z 17-tu w 1937 r. na 57 w następnym.

Mit silnej Polski pojawił się w ostatniej imperialistycznej fazie kapitalizmu, jako forma odwrócenia uwagi młodzieży od problemów społeczno-gospodarczych. Gdyby wychowankowie gimnazjów ogólnokształcących umieli czytać dobrze w Roczniku Statystycznym, dowiedzieliby się zapewne, że w roku 1937 wybuchło w Polsce 2090 strajków. Dowiedzieliby się również, że 603,400 bezrobotnych z samego tylko przemysłu wołało w „Polsce mocarstwowej” o chleb.

Wołania bezrobotnych o pracę i chleb nie dało się oczywiście zagłuszyć. Trudno było również ukryć fakt, że w latach 1927—37 ponad 500,000 chłopów — wyrobników szło rocznie na emigrację sezonową do robót rolnych na „sachsy i brandenburgi”, a drugie

pół miliona chłopów opuściło w tym czasie nasz kraj, emigrując na stałe.

Mit „Polski mocarstwowej” jako czynnik wychowawczy, podtrzymujący liberalno-kapitalistyczny ustrój nie mógł całkowicie odsunąć młodzieży od pojawiających się raz po raz kryzysów. W pomoc szły dalsze elementy systemu wychowawczego.

b. „powiedzia Menandros”

„Humanizm przeciwstawia się innym typom wychowania — pisał prof. Ryszard Ganszynie, redaktor „Filomaty” — one są użyteczne — humanizm irracjonalny; one uprawiają niższą, przyziemną część człowieka — humanizm zaś wzloty geniuszu, tamte walczą z konkurentami ze świata zwierzęcego — humanizm zaś domeną jest sublimowane człowieczeństwo... Utylitaryzm i służąca mu szkoła z wychowaniem zawodowym mają na oku tylko fizyczny dobrobyt człowieka, nie wznoszą go poza system linneuszowy, w którym homo sapiens ma miejsce obok małpy... Do świetlanych szczytów, w sferze idealnej wprowadzają człowieka tylko i wyłącznie studia humaniora... szkoła humanistyczna... działa nie tylko na intelekt, lecz obejmuje całe życie psychiczne człowieka, całą gamę jego uczuć, począwszy od płomiennego entuzjazmu, gotowego do wszystkich poświęceń aż do subtelnej kultury człowieczeństwa... Naprawdę wielką jest rzeczą być humanistą i szczęśliwym ten naród, którego szkolnictwo daje możność dostąpienia tego szczytu. Powiedział Menandros: jakim klejnotem jest człowiek, gdy człowiekiem jest!” („Filomata” — L. 105, 1938”).

Zalecany przez „Filomatę” wzór wychowawczy przyjął się powszechnie w gimnazjach ogólnokształcących. W izolacji od utylitaryzmu „mającego na oku tylko fizyczny dobrobyt człowieka”, szukała młodzież największego klejnotu — człowieka.

„W górę serca! w pełnię życia, króczmy naprzód Filomaci, a zmysł piękna, miłość prawdy, niech pojedna nas jak braci” — pisał uczestnik konkursu na jeszcze jedną pieśń Filomatów.

Ponieważ humanistyczny system wychowawczy usuwał strukturę społeczno-gospodarczą z pola widzenia młodzieży, wydawało się Filomatom XX wieku, czasów imperialnej fazy kapitalizmu, na krótko przed wielką wojną o polityczne, społeczne i gospodarcze dzieje narodów Europy, że problem nędzy i zła leży w jednostce. Stał też personalistyczny postawa wobec ogólnego nieraz rozpaczliwej sytuacji proletariatu.

Problem „Ludzi bezdomnych” przeżywała młodzież jako osobiste i moralne zagadnienie, przyczem nie ważne było postawienie tego problemu na tle dziejów społeczno-gospodarczych, dla ustalenia konieczności i kierunku zmiany istniejącego układu stosunków. Ważne natomiast stało się nateżenie postawy uczuciowej jednostki wobec widzianej nędzy.

Taka personalistyczna postawa młodzieży wobec życia musiała się pojawić, skoro wmontowano w nią, że szczęśliwy ustrój państwa jest funkcją rozwoju sił duchowych dobra i szlachetności — jednostki.

Do zajęcia takiej właśnie postawy wzywał również min. oświaty Wojciech Świętosławski w mowie radiowej, wygłoszonej do młodzieży we wrześniu 1938 roku.

Oto co mówił minister: „Szkoła nauczy was przede wszystkim doznawać nowych nieznanych wam dotychczas radości, płynących z przeżyć duchowych... Usiłujcie wytrwale stawać się coraz to lepszymi, a raz obrawszy drogę doskonalenia swego ducha nie ustawajcie w tej pracy przez dalsze życie...”

Społeczny sens tego podniosłego, moralistycznego przemówienia nie jest inny niż wszystkich innych, cytowanych tu wypowiedzi. Pomijając świadomość społeczną autorów tych wypowiedzi, stwierdzić trzeba, że wszystkie zakładały one, iż u podstaw wszelkiej pomyślności narodu leży nie zmiana jego struktury gospodarczej, ale człowiek i jego wyposażenie w cnoty wieczne, dobra, szlachetności charakteru i silnej woli, stojące ponad i właściwie poza strukturą społeczną.

Takie podstawy wychowawcze młodzieży przyjął. „Te słowa wielką dla was mają wartość — pisała redakcja „Młodzi Idą” — bezpośrednio po mowie min. Świętosławskiego — są jakby drogowskazem, według którego skierujemy i skoordynujemy nasze wysiłki. „Sta-

jemy z ochotą do nauki i pracy społecznej pod hasłem odpowiedzialności indywidualnej... Każdy z nas odpowiada w pełni za swe czyny i słowa”.

Tak więc, światem zainteresowań młodzieży szkół ogólnokształcących stały się nie dzieje chłopów, robotników, czy kapitalistów, ale zagadnienia rozwoju wewnętrznego uczuć i woli. Ten zwrot ku doskonaleniu indywidualnemu jako podstawy działania społecznego umacniał jeszcze jeden element systemu wychowawczego.

c. Każdy za siebie — Bóg za wszystkich!

„Podstawowym czynnikiem wychowawczym, którego wpływ powinien zaważyć na całym naszym życiu jest dawane wam w szkole i w domu wychowanie religijne” — mówił do młodzieży min. Świętosławski.

Zatym wychowanie religijne, podniesione w gimnazjach ogólnokształcących do naczelnej rangi, uzupełniało „komplet serca” młodzieży. Opierało się ono o przymus chodzenia do kościoła, lekcje religii i prace nad samokształceniem się w kołach sodalicy.

Czego można było dowiedzieć się z niedzielnych kazań prefekta?

Cytujemy tym razem ks. pref. Czerwińskiego, który uczył religii Stefana Żeromskiego: „Droga mi inteligencjo, moi mili uczniowie: uczeni i literaci, pisarze i artyści, pedagodzy i sędziowie, urzędnicy i przemysłowcy, a tymbardziej różni dygnitarze! Religijne i cnotliwe życie w związkach małżeńskich, szanujcie ich świętość i nierozzerwalność dla szczęścia rodzin waszych i dobra milej ojczyzny, poświęcajcie się dla ojczyzny, a nie wyzyskujcie jej ani obdzierajcie finansowo przy każdej sposobności... Budujcie w życiu rodzinnym i podnoście lud, który patrzy na was, i o tyle trzyma z wami i ceni was, o ile wy trzymacie z Bogiem i jego świętym rzymsko-katolickim kościołem” (1926).

Mamy tu do czynienia z dyskretnym wykładem z dziedziny polityki społecznej. Chodzi w nim znowu nie o co innego jak tylko o utrzymanie istniejącego układu społecznego w stosunkach „różnych dygnitarzy” i „przemysłowców” z bezimienną 70%-ową masą narodu nazwaną ogólnie ludem. Układ miało podtrzymywać poczucie wspólnoty religijnej, oparte o prymat kościoła.

Jeżeli znalazł się ktoś pośród młodzieży, kto rozwiązywał problemy społecznych stał na gruncie przemian struktury ustroju, radykalizm taki był usuwany na lekcjach religii. Przyznał to sama młodzież, zęgnając na krótko przed wojną następcę prefekta Żeromskiego.

„Był wielkim powiernikiem naszych przeżyć i poglądów na życie, z pogodnym uśmiechem prostował radykalne sądy młodych zapaleńców... Wpajał w nas miłość chrześcijańską, wysoką moralność...” („Młodzi Idą”, 1938).

Taką samą wysoką moralność wpajały w młodzież sodalicy. Kim miał być gimnazjalista — sodalis? Odpowiedź nam kronikarz Marianański: „Sodalis to nie tylko przyszły ksiądz — Sodalis, to każdy Polak — katolik, rozumiejący cel swego życia, ceniący swe tradycje narodowe, stojący w obronie tego, co wzniosłe, co doskonałe” („Młodzi Idą”, luty 1939).

Na jakiej drodze dochodził sodalis do miłości chrześcijańskiej? „Sodalisci byli bezwzględni dla siebie. Świadczy o tym kary pieniężne wyznaczane za nieobecność na zebraniu, udzielanie napomnień, wreszcie, jeśli tego wymagała potrzeba, skreślenia z listy Sodalistów i odebranie dyplomów” — odpowie Marianański kronikarz.

Wyposażony nie w wiedzę o istotnym stanie społecznym i gospodarczym kraju, ale z orężem zapału i wiary we własne siły stawał sodalis do walki o własną doskonałość w przekonaniu, że suma doskonałych jednostek równoznaczna jest ze szczęściem narodu. Utrzymując z jednej strony „przemysłowców i dygnitarzy”, z drugiej strony masę ludu, związane religijną wspólnotą w naród — miał spełnić Sodalis Chrystusowe postanowienie.

Tak to wyglądało przygotowanie młodzieży do przyszłych zadań w kraju „skazanym na wielkość”, gdzie znikomy odsetek rentierów posyłał ten sam procent swojej młodzieży do gimnazjów ogólnokształcących, co i masa chłopstwa stanowiąca blisko 70 proc. narodu.

Czołgi niemieckie, te same które przejechały błyskawicznie Austrię i powaliły przy na-

szej pomocy Czechy, rozbiły w kilkanaście dni „Polskę mocarstwową”. Królowa Broni-piechota i wstawiona w bojach, niezwykła na kawaleria poszły w rozsypek. Związek Radziecki okazał się sojusznikiem, a szczęście cierpiącego w ojczyźnie człowieka rozwiązuje się właśnie nie drogą kształcenia wiecznych cnót człowieka, ale przez zniesienie liberalno - kapitalistycznej struktury państwa, którą usiłował utrzymać daremnie przedwojenny system wychowawczy.

Ukształtowana poza społeczno - gospodarczymi dziejami pozostała młodzież w znacznej części na marginesie naszej rzeczywistości i przestępując dziś próg wyższej uczelni, wraca do tej rzeczywistości z trudem.

NA PRZEDWOJENNYCH UNIWERSYTETACH

Cytowana już częściowo tabela, sporządzona przez dra M. Falskiego pokazuje dalej, że na każde 100 uczniów, zaczynających naukę wstępowo na pierwszy rok studiów akademickich:

A. Warstwy zamożne i wykształcone	19,4 uczniów
w tym więksi przedsiębiorcy w przemyśle i handlu	21,9 „
wolne zawody	41,1 „
urzędnicy (publiczni)	18,6 „
B. Mniejsi przedsiębiorcy	1,8 „
C. Rolnicy do 50 ha	0,4 „
D. Rolnicy do 5 ha	0,2 „
F. Robotnicy fabryczni i służba domowa	0,4 „
G. Robotnicy rolni	0,1 „

Najliczniejsze klasy społeczne — chłopska i robotnicza, jak to pokazuje tabelka — były reprezentowane na wyższych uczelniach już tylko w 1 proc. Natomiast młodzież klas uprzywilejowanych stanowiła 96 proc. ogółu studiujących.

W roku akademickim 1936/37 mieliśmy 48.000 młodzieży na wyższych uczelniach.

Warto jeszcze przypomnieć sobie, że poszczególne ważniejsze wydziały były następująco obsadzone:

Prawo i nauki polityczne	12.629 słuch.
Medycyna	3.872 „
Rolnictwo	2.463 „
Politechniki	7.459 „
Nauki handlowe	4.268 „

Tak więc prawie 50.000 młodzieży ze „sfery” ziemiankiej, wielkich i średnich przedsiębiorców oraz wyższych urzędników publicznych wypełniało niemal całkowicie sale wykładowe i pracownice naszych przedwojennych wyższych uczelni.

I tu panowała określona atmosfera wychowawcza, oparta — jak to się i dziś jeszcze mówi — o „czystą naukę”, albo „naukę jako taką”. Atmosfery „czystości nauki” broniła autonomia szkół wyższych.

Jakież były elementy przedwojennego systemu wychowującego młodzież akademicką?

a. Dostojna „człowieka wiecznego” praca

Z okazji uroczystej imatrykulacji (jaka odbyła się w 1927 roku na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, J. M. Rektor powiedział do młodzieży:

„Podpadacie pod jurysdykcję uniwersytetu, który władzę swą sprawuje mocą autorytetu moralnego. Stąd też ciwis academicus to godność niezwykle cenna, reguluje ją poczucie honoru stanu. Honor stanu akademickiego, oto sankcja, która winna podać wysoki diapazon waszemu życiu koleżeńskiemu i stosunkowi do władz akademickich... Pewna swoboda studiów zmierza tu właśnie do wytworzenia samostnej kultury pracowitości, surowego rygoru obowiązkowości, więc do wartości moralnych, do wyrobienia zalet charakteru”.

Duszpasterz akademicki powiedział z tej samej okazji:

„Praca naukowa jest waszym pierwszym obowiązkiem, bez niej można być wszystkim, czym chcecie — ale nie studentem. A druga praca — może jeszcze bardziej trudna i męcząca — to „wydobycie z przeszłości”, „płonącej gwiazdy”, „chrześcijaństwa” w sobie jak najwięcej „ziarna siewnego”, jak najwięcej żywotności i siły, słowem — uszlachetnienie swego człowieczeństwa. Dostojna „człowieka wiecznego” praca”.

Przytoczone fragmenty przemówień wykazują, że uniwersytecka atmosfera wychowawcza stanowiła konsekwentne przedłużenie systemu wychowania w gimnazjach ogólnokształcących.

Chodziło znowu o „uszlachetnienie swego człowieczeństwa”, do którego nawoływał redaktor „Filomaty” — prof. Ganszyniec. Ale kształtowanie człowieczeństwa na uniwersytecie było dla gimnazjalisty bardziej atrak-

cyjne, ponieważ opierało się o nowe, nieznane mu pojęcia „honoru stanu akademickiego” i „wysokiego diapazonu” życia koleżeńskiego. „Dostojna człowieka wiecznego” praca, służąca jedynie kształceniu waleńców moralnych jednostki, miała zapewnić nie tylko krajowi, ale i całemu światu szczęśliwe dzieje.

Takie podstawy wychowawcze, wcale nie inne niż obowiązujące w średnich szkołach ogólnokształcących, akceptowała młodzież akademicka z entuzjazmem.

W jaki to sposób musiał doskonalić się polski akademik, aby zapewnić szczęśliwy byt każdemu człowiekowi w kapitalistycznej ojczyźnie, a nawet i innym mieszkańcom świata? Czy przez zmiany ustrojowe? Otóż nie — przed wojną zbawiało się ludzkość w sposób daleko prostszy niż dziś.

„Przed wszystkim sami się musimy otrzaskać ze złych nalaćności i udoskonalić wewnętrznie” — powiedział przedstawiciel uniwersytetu Poznańskiego, na zjeździe jasnogórskim akademików, 24. V. 1936 — i? — „uczynić wielką wyprawę do głębi naszych serc po miłość twórczą i budującą. Musimy sprowadzić wielki cud odrodzenia, aby przez to droższą najbliższe otoczenie, społeczeństwo, państwo, świat” — dokończył reprezentant uniwersytetu Jagiellońskiego.

W taki to sposób — idąc za wskazaniem swoich przełożonych, usiłowała młodzież akademicka załatwić problem nędzy i zła w świecie. Sposób ten, nie naruszając zupełnie społeczno - gospodarczej struktury kraju, był tylko pozornie niezawodny. Niedomogi klasowego ustroju kapitalistycznego pokazywały się coraz częściej.

W 1937 roku 566.000 robotników polskich urządziło 1093 strajków okupacyjnych. Równocześnie przez całą Europę i świat szła fala protestów świata pracy przeciw wyzyskowi: 591.000 robotników angielskich strajkowało 1129 razy tegoż roku, 1.861.000 amerykańskich — 4740 razy i 427.000 francuzów — 3680 razy (Rocznik Statystyczny — 1939 r.).

Ale i na takie, nie dające się przeczyć ukryte niedomagania kapitalizmu, zapowiadające możliwość walki klas, znalazła się w uniwersyteckim systemie wychowawczym odpowiedź, tłumiąca niepokoje, jakich musiała doznawać wrażliwa na ludzką mędrą młodzież.

b. „Za jasną zacość człowieka”

Z okazji otwarcia roku akademickiego 1927/28 na uniwersytecie Stefana Batorego przemawiał do młodzieży J. M. Rektor Almae Matris Vilmensis. Przyjmując za podstawę przemówienia, książkę prof. Zdzichowskiego pt. „Walka o duszę młodzieży” — mówił J. M. Rektor:

„...prof. Zdzichowski, jak nikt drugi w Polsce, bije na alarm, skrzyknąć chce naród do walki na duchy w obronie starej, na opocce katolicyzmu wzniesionej kultury, ałakowanej ze wznowioną wsieklnością przez bramy piekielne. Starym prawem: wskrzeszona Polska znowu ma zająć przednie przyczółki i wypadowe szanice przedmurza chrześcijaństwa”.

W awangardzie tego zbrojnego pogotowia duchowego, na obronę Boga przeciw rozpisanemu bożoczwierzęstwu, za Chrystusa przeciw Antychrystowi, za spirytualizm przeciw materializmowi, za jasną zacość człowieka przeciwko jego bestializacji — iść winna młodzież, czynna współtwórczyni duchowych dóbr kultury narodowej, młodzież akademicka, młodzież naszego, jak bastion wysuniętego „Uniwersytetu Wileńskiego” przede wszystkim.

Profesor-Rektor wyrył głęboko, że Polska zwycięży w tej walce na duchy, dzięki narastaniu — „miazgi kulturotwórczej”.

„...ten nie słabnący wzrost miazgi kulturotwórczej — powiedział — zawdzięcza Polska potężnym rezerwom, jakie ma w głębszych warstwach masy narodowej, tej, która w tworzeniu wyższej kultury udziału dotąd nie miała. Lud w Polsce jest jak długo wyugorowana, uprawy i zasiewu żądna nowizna, kryje w sobie zadatki bogatej nad podziw plemienności, cały zasób nowego rozpedu twórczego”.

„Strasza nas stąd i zowad, że lud Polski, stanowiący do niedawna masę ciemną, nie-ruchawą, kryje w sobie zadatki złowrogie, że zanim ujawni w dziele zbiorowym swoją urodzajność twórczą, wpięty w wybuchnie spod nawarstwień mściwej zawziętości jako moc niszczycielska. Innymi słowy, że niezadługo zagnie on gwałtownie bieg naszego życia kulturalnego, odrzuci i złamie budowlę przeszłości, wytwór szlachetczyzny, i na ruinach dopiero rozpocznie orkę pod nowe, nieznane jakieś zniwo. Tak nas strasza. Są to jednak istne strachy na Lachy. Niewątpliwie znaleźli by się u nas tacy, którym z jakichś tam względów dogadzała by taka perspektywa rozerwania i przewrotu, którzy też z tu-petem wykrzykują podobne zapowiedzi. Ale wybrzyki te nie zmieniają przródzonego biegu naszej historii. Bieg zaś przyrodzony idzie po linii nie rozerwania ale organicznego zrostu polskiej gleby z podglebiem w jedną rolę narodu”.

Przemówienie I. M. Rektora pozwala sądzić, że i na przedwojennych wyższych uczelniach odbywały się wykłady nie tylko w zakresie „czystej nauki”, ale także i z dziedziny aktualnych zagadnień polityczno-społecznych.

O czymże traktuje przemówienie I. M. Rektora? Spróbujmy streścić:

Polska pełni „starym prawem” funkcję przedmurza chrześcijaństwa. Ma do tego zadania wszystkie warunki. I kulturę, zbudowaną na opocce katolicyzmu i ustrój klasowy, gwarantujący najliczniejszym w kraju chłopom zgodną z ich biologicznym bytem, „bogata nad podziw” odrębność stanowo-plemienną. Rewolucji żadnej nie będzie, ponieważ zgodnie z przyrodzonym biegiem lud-

podglebie będzie zasilą swoją miazgą kulturotwórczą, podstawową dla narodowej kultury — glebą szlachetką. Glebę z podglebiem wiąże nierozdzielna wspólnota religijna.

Takiemu wyjaśnieniu struktury społecznej kraju przytaknęli nawet akademicy-chłopi.

„Wszystkie polskie słyną ze szczególnego przywiązania do religii — mówił przedstawiciel Cieszyńska na Zjeździe w Częstochowie — mogą o tym świadczyć wspaniałe uroczystości i obrzędy, urządzane w każde święto... tak było od wieków i tak będzie, nie bowiem duszy ludu zmienić nie zdoła”.

Podczas gdy z Jasnej Góry mówiono o wiecznej duszy ludu, podtrzymując mit odrębności klasy chłopkiej, a co z tym idzie, kapitalistyczną strukturę kraju — jakże tragicznie przedstawiała się prawda!

W roku 1931 mieliśmy 700.000 zbudnej ludności wsi w gospodarkach do 15 ha, 170.000 najniższych folwarczych szukało daremnie pracy, a 27,6 proc. chłopów nie umiało ani czytać, ani pisać. Jeszcze w roku szkolnym 1935-36 ilość szkół wiejskich

1 klasowych	wynosiła 52,1 proc.
2-3 „	36,0 proc.
4-6 „	8,7 proc.
7 „	4,2 proc.

Oto warunki wchodzenia podglebia chłopskiego w szlachetką glebę, w Polsce — przed muru chrześcijaństwa, opartej o miłość bliźniego!

Fakty te leżały jednak, zgodnie z tendencjami systemu wychowawczego, poza świadomością społeczną młodzieży akademickiej. Wiedziała ona natomiast, że u podstaw wszelkiej działalności społecznej stoi człowiek i jego wartość moralna a każdy problem społeczny o tyle ma szansę na rozwiązanie, o ile go rozwiąże w sobie, człowiek szlachetny.

Był jeszcze jeden element wychowawczy, oddziaływujący najsilniej na młodzież akademicką w kierunku odwrócenia jej uwagi od narastającej problematyki społecznej kapitalizmu.

c. „Myśli nowoczesnego Polaka”

Wypada tu streścić jeszcze jedną legendę narodową, która opanowała znaczną część młodzieży akademickiej, szczególnie w ostatnich latach przed wybuchem II wojny światowej.

Polska powinna być krajem „jak najbardziej zachodnim, z silną przewagą ludności mającej pojęcia i instynkty zachodnie, przede wszystkim poczucie prawa i przywiązanie do praworządności — w rozumieniu, że tylko na takich pojęciach i na takich instynktach ludność można zbudować silne, trwałe państwo”. (R. Dmowski, Pisma, t. 10). Poważną przeszkodą w osiągnięciu takiego państwa polskiego są żydzi, żywiłi nie zachodni, o zdegenerowanych pojęciach prawnych i etycznych. Z tego choćby względu żydzi muszą być zniszczeni. Państwo musi być nacjonalistyczne.

„Interes narodu nie tak dawno zjawia się w polityce, na miejsce interesów dynastii, świeckiej lub duchownej”. (Dmowski). W narodowym państwie polskim interesy klasowe, jako odwołujące się „do niższych prawnie instynktów społecznych”, muszą być przestępnym interesem państwowym, podpartym poczuciem narodowej wspólnoty religijnej. „Staro hasła Bóg i Ojczyzna nic nie zastąpi”. W państwie chodzić będzie o wyrobień w członkach społeczeństwa zdolności podporządkowania swych potrzeb, widoków i upodobań interesowi narodowo-państwowemu, bez tego nie ma możliwości stworzenia zdolnej do życia organizacji państwowej. (Dmowski, Pisma, t. X). Przykładem tak zorganizowanego państwa są narodowe Niemcy. Należy mieć ogromny szacunek „dla ich energii, a przede wszystkim dla ich konsekwencji, która jest głównym przymiotem prowadzącej dojrzałego, me-skiego umysłu”, tym więcej, że „społeczeństwo pruskie, będące tak biegunowym przeciwieństwem naszego szlachetnego typu, w znacznej mierze ulepiło się z tego samego materiału rasowego, co nasze, że dzisiejsi, niezawistni nam, ale jednocześnie tak nam imponujący Prusacy — to potomkowie wspólnych nam przodków, lub bliskich krewniaków, Słowian nadłabskich, Pomorzan i w ogromnej illezbie czystej krwi Polaków. Ten sam w znacznej mierze materiał, tylko wychowany w innej szkole państwowej, dał tak silny, żywotny, tak czynny politycznie naród, że zdołał on zorganizować całe Niemcy, rozbiło no niedawna i wyzute z najelementarniejszych instynktów politycznych”. (Dmowski „Myśli Nowoczesnego Polaka”).

Obciążone historyczną tradycją narodowych cierpień, w gruncie rzeczy biernie i uwikłane w zagadnienia klasowe, pozostało po zarazie socjalizmu — społeczeństwo polskie jest w stosunku do pruskiego ideału znacznie za-późnione. „Życie wszakże robi swoje. Przemiany prawne, postępek ekonomiczny upodabniają nasz kraj innym krajom europejskim. Zaczyna się wytworzać podobny do swych odpowiedników w innych społeczeństwach typ polskiego kupca, przemysłowca, technika, kantorzysty... Zaczyna się zjawiać... typ nowoczesny: agrariusz — wielki producent i mniejszy — farmer”, chociaż jest jeszcze taki stan w kraju, że „gdy potrzeba dobrego administratora, można przejechać całą Polskę i odpowiedniego człowieka nie znaleźć i „nie ma ludzi, umiejących dawać początek nowym galeziom wytwórczości i zarobkowania”... mających pojęcie o „porównawczej wartości pracy, o istocie handlu, o obrotach bankowych, prawie wekslowym, o elementarnej buchalterii itp.”. (Myśli Nowoczesnego Polaka”).

Uaktywniony przez nowoczesnych Polaków — agrariuszy i znawców prawa wekslowego — naród, nie hamowany antagonizma-

mi klasowym, stanie do walki o swe prawa w Europie, gdzie ścierają się interesy dwu potężnych państw Anglii i Niemiec. Polityka państwowa wyznaczy Polsce interes narodowy, a prawem stanie się to wszystko, co przyniesie państwu korzyść.

Tak wyglądała pokrótce jeszcze jedna legenda przedwojennej Polski. Podpisała się pod nią znaczna większość akademickiej młodzieży — członków Stronnictwa Narodowego, Obozu Wielkiej Polski i Obozu Narodowo - Radykalnego.

Wychodzące we Lwowie „Wiadomości Korpacyjne” postawiły sobie żydoznawstwo za jeden z głównych celów pisma. Tam też pojawił się napaśliwy artykuł pt.: „Słowa na alarm” — protestujący przeciw przyznaniu w lipcu 1928 roku Julianowi Tuwimowi nagrody literackiej miasta Łodzi.

Na Jasnogórskich ślubach przedstawiciel lwowskiego uniwersytetu mówił: „Jesteśmy dziećmi epoki, której cechą jest czyn i walka... Czas próby nadchodzi. Otóż my, współczesna młodzież polska, która poznała, że za masonerią i za komunizmem stoją zawsze siły światowego zydostwa, myśmy postanowili zwalczyć tę okropną zarazę żydowsko - masońską, która nie pozwala nam zbudować własnej cywilizacji, zabiera nam miejsce, przeznaczone na ziemi przez Boga”.

Potrzebę „dobrych administratorów” państwa mieli zaspokoić słuchacze, wydziałów prawnych, najliczniej obsadzonych, jak to wykazuje zamieszczona już wcześniej tabelka. Brak fachowców z wiedzą „o obrotach handlowych” mieli uzupełnić akademicy z wydziałów handlowych, również stosunkowo licznie obsadzonych. Nowe galezie wytwórczości rozwinięłyby studenci politechnik.

Podziw dla narodu pruskiego, który wyrósł z pokrewnych nam składników rasowych wyrażała szczególnie młodzież ONR, naśladowująca formy organizacyjne niemieckiej Hitlerjugend.

Tak więc zaakceptowała młodzież akademicka mit Polski katolicko - narodowej, w której miała usprawnić organizację prawną - administracyjną i udoskonalic przez studia handlowe i techniczne, orientując się ostrożnie w stronę III Rzeszy.

Warto sobie przypomnieć, jak wyglądała przedwojenna sytuacja w Europie środkowej?

Po opanowaniu Czech i Austrii wielokapitałistyczny przemysł niemiecki osiąga po raz drugi w ciągu XX wieku fazę imperialistyczną i rusza do ofensywy na rynki gospodarcze środkowej Europy i Bałkan. Wielkie Niemcy obejmowały w roku 1938 prawie 76 proc. wywozu rumuńskiego, 43 proc. greckiego i ponad 40 proc. jugosłowiańskiego, 48 proc. tureckiego i 63 proc. bułgarskiego, a dostarczały 48 proc. przywozu węgierskiego, 50 rumuńskiego i jugosłowiańskiego, 51 proc. tureckiego i 58 proc. greckiego. (W. Jastrzębowski „Gospodarka niemiecka w Polsce”). W tym samym czasie obroty handlowe polsko - niemieckie obejmowały 32 proc. naszego handlu z Europą.

Dominująca pozycja niemieckiego imperializmu gospodarczego na rynkach środkowej Europy i Bałkan oznaczała także decydujący wpływ III Rzeszy na rozbudowę aparatu produkcyjnego podległych jej gospodarczo państw. Czas był dla Niemiec pomysłny. „Państwa zachodnio - europejskie wycofywały gwałtownie krótkoterminowe kredyty inwestycyjne z tej części Europy. Jedynym źródłem niezbędnych kredytów stały się Niemcy. Publicystyka Goebbelsa przekonywała równocześnie z niemiecką akcją kredytową, że przyszłość mniejszych narodów Europy leży tylko w ścisłej współpracy gospodarczej pod (chroną III Rzeszy).

Jaką rolę mogła odegrać Polska nowoczesnie myślących Polaków w ramach planów gospodarczych kapitalistycznych Niemiec, czy kapitalistycznej Anglii?

„Wzmacniając siłę narodową, przy zachowaniu nierówności klasowych... miała „wejść w grę wojenną kapitalistycznych imperiów. Przy próbach nowego podziału świata można było liczyć na rozszerzenie narodowej kolonii. Można było w ten sposób jeszcze bardziej usunąć z pola widzialności nierówności klasowe, tym silniej je utrwalać”. (Wieś nr 41 — „Kategoryczne żądanie”).

Skutki manewrowania między ścierającymi się w Europie mocarstwami kapitalistycznymi były jednak inne, niż te, jakich się spodziewał twórca „Myśli nowoczesnego Polaka” — Roman Dmowski.

Wojna pokazała, jak wygląda rozwój gospodarczy pod opieką wielkich Niemiec i gdzie leży granica ofiarowanej nam na czas wojny przyjaźni Wielkiej Brytanii.

NOWE DZIEJE

Skoro zatem przedwojenny system wychowawczy, podtrzymujący liberalno - kapitalistyczny ustrój państwa, oparty o misję kulturalną narodu w ramach zachodniej cywilizacji i praworządności — nie otworzył oczu młodzieży gimnazjów ogólnokształcących i akademickiej na tragiczne dzieje chłopów i robotników, to klasy te przypomniły się same i walcza dziś z pozostałościami kapitalistycznej struktury społeczno - gospodarczej o „jasną zacość człowieka”.

Nie jesteśmy już narodem skazanym na wielkość, obdarzonym przez Boga jakąś specjalną misją. Dziś jesteśmy wreszcie zwykłym narodem, dorabiającym się ciężko, jak wiele innych — nowego szczeliny człowieka. Trzeba nam tworzyć nowe dzieje — wyrównania krzywd społecznych w ramach lepszej niż kapitalistyczna struktura państwa.

Do takiej pracy zaprasza dzisiejsza młodzież akademicka „cierpiący w ojczyźnie człowiek”.

Czy długo będzie jeszcze czekał?

Wiesław Jajdziński

W OSTATNIM 41 (120) NUMERZE „WSI”: z dnia 26 października 1947 r.:

Zespół „Wsi” — Kategoryczne żądanie. Lech Budrecki — Schillera idea teatru rzeczywistości; Wiesław Jajdziński — I jeszcze jedna uczelnia; Aleksander Twardowski — Na Dnieprze (Tł. T. Chrościelewski); Dwa wiersze. (Tł. A. Kamińska), Odnaczenie (Tł. A. Kamińska); Eugeniusz Dolmatowski — Nocny samolot (Tł. T. Chrościelewski); Była wojna (Tł. A. Kamińska); Jerzy Falenciak — Co to jest naród?; Pięćgrzym w Dobromilu; Krystyna Kuliczewska — W sprawie poezji dla dzieci; Anna Kamińska — Zły wilk, dobra babcia; Piotr Wyrobek — Wczasy kalwaryjskie; Władysław Blachut — Odpustowe refleksje; Marian Niklewska — Braki i pozostałości drobno-kapitalistycznej gospodarki; Józef Pogon — „Nieznana wieś” J. Kapuścińskiego; Fakty i zdania: Stanisław Cieślak — Ruch spółdzielczy a państwo; Anna Kamińska — Oko w tyle głowy; Wiesław Jajdziński — Dlaczego chłopski Marks?; Anna Kamińska — Minister Minc — wojtem; 3 ilustracje, 8 stron.

Hanna Kulągowska

PAMIĘTNIK DZIECIĘCIA WIEKU

Nadejście Polski Ludowej zaskoczyło niewątpliwie nie małą część młodzieży. Zdawało jej się, że po latach zmian, nieszczęść, bojów i strat Polska wynurzy się w postaci przedwrześniowej Ojczyzny swojskiej i poufalej. Abstrahując nawet od tego, jak ta młodzież ocenia zmiany ustrojowe i ekonomiczne, jest rzeczą jasną, że czuje się ona po prostu nieswojo, że nie może domać się swej dawnej zakonserwowanej we wspomnieniach Polski. Bo młodzież ta uważa swój, typ patriotyzmu za wrodzony i naturalny. Sądzi, że nie podlega nigdy żadnym sugestiom politycznym, że wystarczy być wiernym po prostu białoczerwonej fladze, że to wyczerpuje wszystkie możliwości ustosunkowania się do spraw nowego kraju.

Świat zastany przez nas był jedynym dopuszczalnym gatunkiem świata. Zdawało się nam, że ustrój, w którym żyjemy, jest jedynie wyobraźnia — że naszym zadaniem będzie tylko potęgowanie jego dobrych stron. Przyjmowaliśmy na słowo taki a nie inny wygląd ojczyzny, nie podejrzewaliśmy wogóle istnienia innych form społecznych i ustrojowych. Wszyscy Polacy kochają się, wszyscy Polacy są wolni, wszystkim Polakom będzie coraz lepiej.

Prezydent państwa, wódz narodu, to były jakieś dożywotnie rangi, związane z piękną cią charakterów tych ludzi — tytuły na zawsze. Że mógłby te stanowiska objąć kto inny (o czym wiedziliśmy z konstytucji) było czymś bolesnym i nie do wiary. Cała nasza tkliwość wiązała się z tymi ludźmi. Nie przychodziło nam do głowy, że ich nazwiska to były znaki ideologiczne określonych tendencji politycznych, określonych programów. Że te programy mogły być zmienne i że naród nie był monolitem społecznym. Wierzyliśmy w jakąś potworną, a-intelektualną jedność wszystkich Polaków.

Dzieje Polski płynęły dla nas jedną żyłą przez wszystkie wieki; w okresie niewoli żyła ta tętniła podskórnie, ale zawsze była tą samą. Polskość to było właśnie to. Żywiliśmy męt nagiej Polski, tej, która sama przez się była już światopoglądem.

Jakieś pretensje społeczne w łonie tego samego narodu były brzydkie, niepatriotyczne. Wierzyliśmy w jedność wszystkich Polaków, w błogość wspólnej polskości, doznawaną przez wszystkich.

Była cokolwiek endecja, dość namacalna na znanym mi gruncie poznańskim, zdarzały się koleżanki powtarzające bezmyślne endeckie poglądy swych domów. Ale szkoła średnia ogólnokształcąca włączała umiejętnie te właśnie nastroje jako nie klasowe, a zastrzegające kontur klasycznej, narodowej miłości Polski i wzór tego oficjalnego patriotyzmu zapadł głęboko w młodzież — trwa aż do dziś, wyznacza stosunek do dokonanych przemian społecznych.

Cały zespół wyobrażeń szkoły złożył się na nasze przerażenie przed komunizmem. Komunizm to była dla nas negacja życia, dobro bytu, kultury, Komunizm to ludzie, którzy nie chcą jadać, mieszkają, tworzyć literatury, zakładać rodzin, hodować kwiatów — ludzie posepni, bezbożni, niemoralni.

Nasza ignorancja co do Związku Radzieckiego równała się tej nienawiści. Katolicka aura szkoły zakładała z góry taki stosunek do spraw sowieckich. Nawet bardzo inteligentna młodzież nie zdobyła się w tej dziedzinie na własne zdanie, gdyż równała się to zagrożeniu całego jej systemu wartości, systemu o pozorach prawdy ludzkiej i polskiej. Uczono nas historii — nie rozumiem do dziś, jak potrafiliśmy łączyć kult Kościuszki i Mickiewicza, radykałów polskich i radykałów Rewolucji Francuskiej z miłością dla przeczących im ludzi i zdarzeń. I tym bardziej nie pojmuję, jak udawało się to naszym dojrzałym wykładowcom. Zdawało się, że czynią wszystko, by zapewnić nas o tożsamości zaskąd Kościuszki i Piłsudskiego. (Bo obaj „kochali” Polskę, obaj o nią walczyli). Żalowaliśmy chłopów w historii i robotników Konopnickiej. Ale ta litość nie przewodziła do żadnych bystrzych spojrzeń na teraźniejszość. Beztrudno nie dostrzegaliśmy poprostu klas społecznych. Nasza wewnętrzna przychylność dla „ludu” miała świadczyć o ludzkości i niwelacji różnic społecznych. To było nowoczesne i ładne. Zdawało nam się, że ta uroczą „bezklasowość” wewnętrzna rozwiązała już dawno w Polsce wszystkie zależności między posiadającymi i upośledzonymi. Nie zobowiązywało nas to do niczego, do żadnej obiektywnej działalności, do żadnej rewizji sytuacji społecznej.

Była u nas zgoda na istniejącą Polskę, aprioryczna zgoda na wszystkie jej posunięcia polityczne. Cokolwiek czynił Beck, natychmiast znajdowaliśmy na to tysiące patriotycznych uzasadnień. Radość z powodu Zaolzia obowiązywała tak samo, jak pójście do comiesięcznej komunii. Każdy inny układ sentymentów byłby niepolityczny i gorszący. Ten dualizm religijno-narodowy był substancją naszych dusz. Liczyliśmy się w wewnętrznych wartościach, w uczuciowym nasileniu tych dwóch wiar. Szkoła kształtowała nas umiejętnie. Nie wywierała niby oresji politycznej, ale była polityczna par excellence. Była polityczna w sposób naturalny, była polityczna tak jak jest się poprostu

kobietą czy kaktusem. Była polityczna organicznie. Jeśli nie dawała bezpośrednich dyrektyw politycznych, to i tak nasyciała poglądami właściwymi sobie. Byliśmy uzasadnieni jej klimatem, całą tą szkolną sytuacją, a nie jakimś tam szkolnym komentarzem. Jak w dobrej powieści.

Społecznie byliśmy w gimnazjum dość jednorodni. Rekrutowaliśmy się prawie wyłącznie z środowisk mieszczańskich. Dzieci urzędników, nauczycieli, oficerów, kupców, przemysłowców, naukowców. Nieliczni uczniowie pochodzący ze środowisk proletariackich docierali się gorliwie: umiejętnie do panującego stylu rozmów, ubiorów i poglądów. Uważali to za nieodzowny awans. Mówię o gimnazjum ogólnokształcącym. Cenił się siebie wyżej niż uczniów szkół kupieckich, krawieckich i innych typów zawodowych. Pełniliśmy swe wnętrza bezinteresownie, bardziej po inteligencji. Wzbogacaliśmy nasz potencjał kulturalny, podczas gdy oni uczyli się dla pracy doraźnej, zarobkowej. Popelnialiśmy ten grzech pogardy, bo umiłowaliśmy typ własnej inteligencji — autonomicznej, nieucytowanej.

Widzę tu potrochu źródło kaprysów i niechęci pewnych grup młodzieży wobec dzisiejszej instytucji kursów wstępnych, wobec młodzieży chłopskiej i robotniczej nieuposażonej w ten bezinteresowny polor tradycyjnej szkoły ogólnokształcącej.

Harcerstwo było organizacją wymarzoną dla tego typu mentalności. W pewnym sensie było zawsze grą w próżnię społeczną — grą w świecie jakichś niepowiązanych z sobą społecznie jednostek ludzkich, które należało doskonalić i wypięknąć. Cała liturgia kostiumów i znaków harcerskich była ucieczką w dziedzinę malowniczej fikcji i przygody. Zachwalane formy harcerskiego współżycia grupowego były zawsze jakby współżyciem społecznym „na niby”. Pomoc harcerzy dla ludności (akcja żniw, opieka nad dziećmi wiejskimi itp.) była jednak tylko charytatywnym wyżywianiem się, satysfakcją wyłącznie moralną. Popularność harcerstwa jest typowa i zrozumiała w młodzieży, która nie rozumie obiektywnych powiązań społecznych i nie zamierza wpisywać swej pracy w roboczy plan narodu. Była ona organizacją oportunistyczną ideologiczną, właśnie dzięki swej ideologicznej pojemności. Tradycje harcerskie bronią dziś dostępu do organizacji takich, jak ZWM, których realny program, bezpośredni udział w życiu kraju i czynne zanurzenie się w rzeczywistości, wydają się wulgarnie i poziomie. Harcerstwo pielęgnowało naiwność i infantylizm społeczny młodzieży, dreptało wokół spraw wtórnych, lukusu wewnętrznego. Wiem dobrze, że charakteryzuje niecałą młodzież przedwojenną, mówię prawie wyłącznie „o młodzieży gimnazjum ogólnokształcącej”. Tam właśnie dostrzegłam i współprzeżyłam wymienione nastroje, dojrzałam popularność harcerstwa, jako organizacji niezbędnej, dopełniającej konsekwentnie obraz szkoły. Doświadczyłam sama na sobie powagi harcerstwa, jego dbałości o sprawy mej doskonałości osobistej, tysiąca sztucznie wywoływanych prób doświadczenia naszej sprawności — wtedy gdy życie powinno być naturalnym terenem konkretnych doświadczeń, nawet dla społeczeństw dziecięcych.

Wybuch wojny, problematyka okupacyjna nie wyostrzyła jeszcze politycznego słuchu młodzieży mieszczańskiej. Niemcy byli przede wszystkim najeźdźcą, a nie państwem ideologii faszystowskiej; zbirami, mordercami, ale długo jeszcze nie było to dla nas wynikiem kapitalistycznego ustroju imperializmu. Sprzymierzeńcy i wrogowie tej wojny kojarzyli się dla nas dowolnie na zasadzie irracjonalnych wrogości międzynarodowych. Długo nie widzieliśmy starć ideologicznych tej wojny. Długo młodzież mieszczańska nie znała znaków rozpoznawczych prawdziwych demokracji. Wierzyła (i wierzy jeszcze jej część) w amerykańskie gawędy o demokracji. Wierzy w istnienie demokracji, niepartijnych gwarantujących wolę ludu stosunkami ekonomiczno-ustrojowymi.

Wielu z nas udało się douczyć, zrozumieć pewne rzeczy. Oceniamy dziś prawidłowo swą przeszłość, zrozumieliśmy historię, znaleźliśmy radość i dojrzałość. Skończył się dla nas okres młotny. Nie uczestniczymy w historii jak w transmitowanym z dala słuchowisku. W miarę sił próbujemy na tę historię wpływać i to jest bardziej szlachetne i ambitne niż snucie „szlachetnych” watków w krainie wyimaginowanych problemów.

Naszkicowałam taki mały, osobisty pamiętnik psychologiczny, pamiętnik mego środowiska. Zdaje mi się, że ta część młodzieży dzisiejszej, która z trwogą i niechęcią patrzy na kształt nowej Polski jak na bluźnierstwo przeciw tej minionej, gdyby sięgnęła do wspomnień domowych i szkolnych odkryłaby swą zależność ideologiczną od określonych sanacyjnych instytucji i wpływów. Zdemonstrowałaby wtedy i może optację własną bezmyślnością, niedokładnością i żalosną śmiesznością myślenia. Zapraśnie może myśleć samodzielnie, uczciwie i krytycznie wtedy zyska piękny i ludzki światopogląd. Zgarnie złożony w logiczny wzór rozsypaną i absurdalną dotąd wiedzę o świecie.

Pamiętam dobrze.

Klemens Oleksik

PRÓBA ELEGII

Dla ciebie piszę, matko moja.
Odeszłaś, do ostatniej chwili schylona nad balia.
Dziś mogłabyś odpocząć. Jeden z twych synów
uczy w gimnazjum dzieci stryja.
Józek pracuje w fabryce w Radomiu —
Piotr, wiemy, zginął. Umarł Janiszewski.
Ja tu, w Poznaniu, z daleka od domu
spoglądam często na rodzinny błękit
i czczę cię wielce, Mario, wyrobnico.
Czasem do rubryk pytam: czyj syn — skąd pochodzę,
a ja się wtedy niepewnie uśmiecham,
że jestem synem Marii i Wojciecha.
Jeśli o krok poszedłem dalej — jak pragnęli —
wiem, że dziś mogłoby ich to uweselić.
Często myślę o wszystkich seminariach swoich:
kromka chleba w kieszeni na wiano do szkoły —
pastwiska: święty wiosny w kaczeńcach i jaskrach
i smutek samotności na ulicach miasta.
Klasztor, potem Warszawa przyswojona w trudzie.
Trymestry ciężkie: rozmaici ludzie..

*

Zwęszyłem zapach świeżej kapusty:
poezja, na Skarbowej wśród białych obrusów
uwija się panna Elżunia: kocha się w studencie z prawa.
Idzie właśnie. — Boże, jak pięknie pannie Elżuni w tym czepek.
Głębszy talerz zupy i deser po brzegi filiżanki.
Wiosna przyjdzie po trzecim trymestrze:
zapomni się o szewcu, krawcu, o węglu, —
gwizda zakochaną piosenkę
kolega student.

Tadeusz Muras

LIST MIŁOSNY Z WAKACJI

Lato w Żłakowie sianem pachniało jak zwykle.
W tym roku ptaki śpiewały nawet obficie.
Niebo —
album nim tylko wykłej,
by się pamiątką ze wsi na całe miasto szczyścić.

A jednak z domu nie wiozę żadnych wierszy,
by Ci wieczornej darować trochę zorzy.
Lecz zamiast słońca i muzyki świerszczy
niosę Ci ze wsi wiązkę reportaży.

Spójrz na tytuły: „Wici”, „Spółdzielnia”,
„Dom Ludowy”, „Budowa drogi z zarośli”...
Więcej się ciesz, bo wieś moja pełna
Motorów i elektryczności

Gdy przyjdzie wreszcie czas pracy na nas,
pojedziesz ze mną razem.
Wsi mojej zaniesiesz sama
domów piętrowych krajobrazy.

Za miastem
pewno nie będziesz tęsknić nigdy;
nasz teatr stanie do wszystkich festiwali.
Więć nasza — nie tylko plug i widły.
To ludzie — którzy pracować będą z nami.

Tadeusz Chrościelewski

JEGO UNIWERSYTET

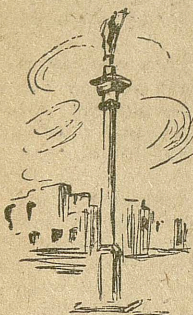
Pamięci Mietka Jankowskiego —
żołnierza — bohatera — niedoszedłego
studenta.

Mój uniwersytet nie ten gwarny
Co gwizdał światła w asfalt biał,
Lecz nocny i beżmiernie czarny
Ścieżysk wsuplanych w mrok i pył,
Czas, gdy pod najniklejszą gwiazdą,
Pelen sztubackich jeszcze ech
Pod kul chrzęszczących szedłem jazgot
Gdyż była „wsypa” i był pech.
Tak mnie z poszyściem czterech lasów
Związało czworo marnych lat
I nie bywało innych czasów
Nad szorstką darń, gdzie druha kładł..
Biel audytoriów — płachta śniegu,
Colloquiów wiele — w mokrym rowie,
Gdym broń zaciskał palców brzegiem,
By bystrą, trafią dać odpowiedź.
Pod Latowiczem i pod Czerskiem
Składałem — oświały mruk
Krótką mą pracę magisterską.
Nie weszła w akta..

Późny wnuk
Jej nie odgrzebie..
Cóż to, dzwon?

— To wielki zbliża się egzamin..
Długom się uczył, wielem zламаł,
Hycel mi pięści kładł na szramach,
Aż gratulować przyszedł zgon
Tytułu mego..
Ojciec siwy,
Mawiał tak: „Twa młodość spływa
W dostatku, synu, w twoje lata
Jam się z cuchnącą biedą bratał,
A jeśli w górę dziś się wzbili,
To stąd, że kul ze wszystkich sił,
A polibuda — to nie tercet..
Ojciec, jam cięższy uniwersytet
Wybrał, by syn Twój a mój brat
Nim liść mnie wgarnie, a mrok zetrze,
Na jasne karty oczy kładł,
Nie patrzył w las, a w ciepłym swetrze
Słuchał na sali białych światła
Katedry,
oby kul
Jak ojciec, co się zgarbił w pół..
Lecz.., nie dla siebie,

Warszawa, w październiku 1947 r.



Odrodzony w 1945 roku Uniwersytet Warszawski rozwinął się dziś tak dalece, że mamy tu nowe wykłady obok przedmiotów tradycyjnych, odziedziczonych jeszcze po programach przedwojennych. Mnie, jako zaawansowanego nieco w studiach prawnika, interesuje najbardziej wydział prawny. Teologii mieliśmy w tułajszym Uniwersytecie do czasu wojny aż cztery, z nich dwie — Starego Zakonu i prawosławną — unicestwiła niemiecka okupacja, każda w inny sposób i z innych powodów. Student prawa, humanistyki czy też teologii nie wyka nigdy nosa w obręb dyscyplin matematyczno - przyrodniczych. I na odwrót — student wydziału matematyczno - przyrodniczego czy medycyny nie głowi się specjalnie nad tym, do czego służy nasza wiedza. Mój naukowy światopogląd jest tego samego gatunku. A to jest pewnie źle, bo słyszałem, że ostatnie odkrycia atomowe postawiły dotychczasowy podział nauk na ścisłe i humanistyczne pod wielkim znakiem zapytania.

Gdyby mnie kto zapytał ilu jest np. na wydziale prawa U. W. studentów chłopskiego pochodzenia, nie umiałbym podać liczby nawet na oko. Znam kilku, no może kilkunastu, lecz ta ich chłopskość, jak i moja, nie jest w uniwersyteckim środowisku cechą wyróżniającą. Nie kryjemy tego, ale także nie manifestujemy, bo i po co. Czy „Zetueumowcy” lub „Zetemesowcy” dzielą się między sobą podług pochodzenia na członków robotniczej (I-szej) i nierobotniczej (II-ej) rangi? Ja nigdzie nie należę, nie jestem „Wiciarem” — i szczerze mówiąc — nie znoszę określenia „inteligent chłopskiego wzgl. ludowego pochodzenia”. W tym jest coś upiarkającego. Taki mieszczkański kompliment, klepanie po ramieniu, że niby... tego... swoją własną pracą doszedł... i że trzeba być dlań z wielką pobłażliwością. Jeżeli jeszcze przed wojną nazwa ta nosiła znamiona rewolucyjności to obecnie jest, według mojego zdania, dyskwalifikacją ze względu na kryteria wcale nie społeczne a intelektualne. Po prostu nie chce być gorszy, albo nawet inny od reszty inteligentów i po to właśnie ucze się.

Prof. Natalia Gąsiorowska - Grabowska będzie miała na wydziale humanistycznym U. W. wykłady pt. „Sprawa społeczna: chłopska i robotnicza w epoce nowoczesnej”. Moi przyjaciele, nazywający siebie „agrystami”, widzą w łączeniu sprawy społecznej chłopskiej i robotniczej niebezpieczeństwo przyzwolenia problemu chłopskiego przez „za-przysiężoną marksistkę” Gąsiorowską. Może to i prawda, że tej uczoniej bliższe są zagadnienia robotnicze niż chłopskie, lecz to zawsze lepiej dla chłopów, że tak będą o nich uczyć, niż rozklepywać i rozmyślać ich nowoczesną historię podług starego szablonu, w rodzaju np. „dzieje wsi w Polsce i gdzieindziej”.

Słuchacze naszego wydziału rozróżniają wykładających na nim profesorów w ten sposób. Jedni, przedwojenni, tradycyjni naukowcy i nowi powojenni, czyli marksiści. Podział ten wydaje mi się niedokładny, zgola fałszywy. W poczcie „nowych” znajduje się bowiem stary Grabski Stanisław a prof. Gintowt - Dziwiałowski ma podobno trzećle jeszcze nazwisko, które wstydliwie ukrywa. Marksista jest na pewno Henryk Świątkowski, profesor - minister i być może, że także prof. Nowiński oraz prof. Rozmaryn. Z postępowym ruchem ludowym jest jak najmocniej związany prof. Jaroszyński. Nie mogę też stanowczo twierdzić, że wśród przedwojennych profesorów warszawskiego prawa nie ma przedwojennych marksistów.

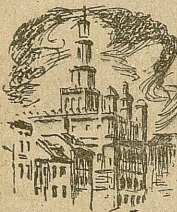
O reformie rolnej w Polsce będzie u nas wykladał prof. Świątkowski.

Teraz pytanie na marginesie. O ile nasi uczeni są „wielkimi w tajemniczością” a o ile wychowawcami i nauczycielami narodu?

Akademik

Poznań, 26. II. 1939.

Kochany Jureczku!*)



Jak podobają Ci się buty, czy są wygodne? Szewc zaklina się, że na czas je wyślą, nie wiem, czy to prawda. W każdym razie dobrane byłoby, gdybyś do mnie napisał cokolwiek. A może obraziłeś się o tę scysję na stacji? Chyba nie. To byłoby nierozsądne. Co ja jestem winien, jak kobieta się pali... Ale mniejsza o to. Zało mam pozdrowienia od Basi. Czy pamiętasz ją jeszcze? W tydzień po Twoim odejściu przyszła do mnie, a zastała Wacka, który odrzucał sobie dogodził na niej. Później przychodziła dzień w dzień do nas. Przychodziła tak długo, aż się nie znużyła i zabronił mi Agacie w ostry sposób wpuszczać ją do domu. W międzyczasie był u nas Wladek. Opowiadał o Basi, że jest jej pewien, że go nie zdradzi i że w ogóle ona go kocha. Śmiałyśmy się obaj w kulak. Chciałem mu powiedzieć, ale by się zmartwił. A on jej narobił sporo fotografii, masę pracy i zachodu w to włożył, a ona nam je podpisywała i ofiarowywała „W dowód pamięci”. Zemsta jest rozkoszą bogów...

W ostatnią karnawałową niedzielę urządzi-

ła Bradsztatowa, wspinała przyjęcie. Już w czwartek rano przybiegła zziębnięta do mnie i przerywanym ze wzruszenia głosem zaprosiła wszystkich moich znajomych ze mną na czele. Ano radio sobie kupiła podobno, paniąki będą, chcą tańcówkę urządzić... Zgodziło się... Zjawiliśmy się jak należy o umówionej godzinie. Jedynie Wacek próbował jeszcze swych kunsztów na pewnej młodej i bardzo przystojnej osobce, więc oświadczył mi u przejmie, że się spóźni albo wcale nie przyjdzie. — O piątę Wojtek, Janusz i ja stanęliśmy w obliczu plejady prześwieślnych panienek: tej kulawej, Julii i Kazi. Poczułem się nieswojo. Julia na pewno nie z przypadku przyszła... Achtung! niebezpieczeństwo!

Zapewnie zdziwił Cię ta moja domyślność, ale ponieważ nie umówiłem się z nią na następne spotkanie wtedy, gdy razem byliśmy w Śmie, ona bombardowała mnie swymi listami. Miałem podstawy coś złego przypuszczać: wniosek — unikałem jej, jak tylko leżało to w granicach przyzwoitości. Przed samą kolacją zatańczyłem z Janką K. lambeth walka, trochę tańczyłem z Kazią i raz z tą koślawą. Poza tym siedziałem przy radio. Przy stole usadziła nas razem z Julią. O Boże! jak ona była miła, kochana, serdeczna — to tylko ten oceni, kogo chciała zdobyć. Chciała gwałtem wspólne talety, pić z jednej szklanki, zaproponowała jej wzamian, żebyśmy zjedli wspólnego faworka i poza tym miłałem zawzięcie. Gdy wstawaliśmy już prawie od stołu przyszedł Wacek. Sygnał: trzy dzwonki i już byłem przy drzwiach, przedstawiałem go i wprowadzałem w towarzystwo. Dali mu kłębasy z kapustą, a mnie do towarzysystwa szklankę herbaty. Pytam się, co go tu sprowadziło? — Ano, to jego bóstwo, ta ślicznotka jest dziewczką.

Po kolacji ciotka bierze mnie na stronę i pyta się czy gniewam się na Julię, bo przecież zawsze się lubiliśmy (sic!), i ona nas kocha (sic!), i chciałyby żebyśmy się kochali (sic!). Mój Boże! ma 60 tys. dolarów w posagu! Zwolnij naradę wojenną. Nie nie uradziłyśmy. Postanawiam lawirować dalej... A więc przeprosiłem Julię za moje zachowanie na wieczorku, przeprosiłem za to, że nie odpisywałem na jej wzruszające listy i — zatańczyłem z Kazią. To jej było za wiele. Wstaje, podchodzi do nas, łapsz mnie za rękę i mówię słodziutkim głosem, że obiecałem z nią tańczyć. Tańczę, trudno... a ona znowu wzięła mnie na stronę (biedna moja męska pleć) i o czymś mówi czule, bardzo czule, ja nie słucham i wodzę wzrokiem płaczącym po sali; wołam Janka. Janek wszczął intelektualną rozmowę. Interesująca, jak tylko Janek potrafi. A ja zdala obserwując, zważałem jeno na to, by ciągle byli razem. Wreszcie Julia idzie do domu. Janek dostaje na tramwaj i odprowadza ją hen! aż na Abisynię. Poczuł się Janek.

Ciotka znowu do mnie z pretensją: jak mogłem tak martwić dziewczynę, dlaczego nie odprowadziłem jej? Ja jej na to: „Julia, moja droga ciociu, nie nadaje się na żonę, bo ma zły charakter, a tym bardziej nie nadaje się na kochankę (tak powiedziałam), bo jest do tego stopnia brzydka, że wstydziłbym się z nią na ulicy pokazać. A po drugie widziałem, że Janek się w niej zakochał. Nie mogłem koleś przeszkadzać. A po trzecie: czy to nie ja odprowadziłem Julię, skoro Janek aż złotówki żądał za ten chwałebny czyn? Zasiadłem do brydza. 60.000 dolarów przepadło... Janku! niech Bóg broni pisać o tym do domu. Rodzice mogliby mieć pretensję do Bradsztatów o to. Wolę sam opowiedzieć, jak już będę musiał. Wolałbym jednak nie mówić.

Czy wiesz o zajęciach w Gdańsku? W sobotę, w południe otrzymaliśmy depeszę. Że pobito kilkunastu studentów — Polaków, w tym 8-miu ciężko. Niemcy zdobywali przez trzy dni szturmem Polską Bratnią Pomoc, na pomoc przybyło 150 studentów z Królewca. Była masakra. P.A.T. tamuje i łagodzi, jak może — podaje fałszywe i niezgodne z prawdą wiadomości. Ponieważ w sobotę było już jedno walne zebranie, urządzono drugie o godzinie 12 w nocy. Chodziłem po Poznaniu do drugiej w nocy, wreszcie wróciłem się do Wackiemu do domu. Co dalej działo się — nie wiem.

Uchwalono nazajutrz rezolucję, stwierdzającą bojkot honorowy i towarzyski Niemców tak długo, aż gdańszczanie przeproszą Polaków i na politechnice nie zaistnieją normalne warunki.

To byłoby wszystko, a co u was się dzieje? Jest jaka reakcja?

Odpowiedz Twoją, którą do Hanki wystawieś, bardzo się Wackowi podobała. Powiada on, że jej nie mogła się nawet przyśnić podobna odpowiedź. Z drugiej strony ona też bardzo głupio napisała do Ciebie. Mówię to, chociaż czytałem ten list przed wystąpieniem nie chciałem poprawiać...

Odpisz mi, jak tylko będziesz miał czas. Ukłony dla Zbyszka.

Uściski zasyłam

Lodek

LISTY AKADEMICKIE

Poznań, 12. X. 1947.

Kochany Wieśku!

Cheesz, abym ci opisał wrażenia, jakie wniosłem ze studiów na uniwersytecie poznańskim. Czynie to chętnie, nieraz bowiem chciałem zapoczątkować dyskusję między nami na temat naszych uniwersytetów.

Najpierw trochę historii...

Na początku brakowało nie tylko profesorów, urzędników, ale nawet... studentów. Młodzież wielkopolska nie mogła się kształcić w czasie okupacji na tajnych kompletach tak jak w G. G. — brakło po prostu narybku. Przyjmowano wtedy każdego, kto posiadał nawet niepewne papiery odrzucone, gdzie indziej. Tak więc przybywały do Poznania z innych dzielnic wszyscy „obrażeni” i zniechęceni czy to trudnymi warunkami mieszkaniowymi w Warszawie, czy to trudnością natury formalnej w Krakowie.

Była to zresztą młodzież tragicznie zawiadziona w swych marzeniach i obliczeniach politycznych. Młodzież, z którą — jak sama uważała — życie obeszło się bardzo brutalnie i nie zaoszczędziło jej przykrych konsekwencji.

Na Uniwersytecie Poznańskim gromadziła się przede wszystkim powstańcza młodzież stolicy około 40 proc., partyzanci okolicy Kielc, Radomia i Częstochowy około 30 proc. Resztę stanowili synowie ziemi Wielkopolskiej oraz repatrianci. W takich warunkach na tle ówczesnej sytuacji politycznej i gospodarczej nie trudno było Rektorowi Dąbrowskiemu zawiadnąć młodymi sercami, zawiadzionymi i politycznie i osobiście.

Działalność Dąbrowskiego jako organizatora i wychowawcy zaliczyłbym do bardzo pozytywnych. Pod tym względem można by go przyrównać do wielkiego Heliodora Święcieckiego — pierwszego rektora Uniwersytetu Poznańskiego.

Dobrze czuli się w Poznaniu akademicy. — Poznaniacy przyjmowali przybyszów bez leżkiej historycznej, ale z konkretną pomocą w postaci np. taniach mieszkan.

W miarę jak przybywały nowe „lata” skład Uniwersytetu poczynił się zmieniać. — Napływał element miejscowy, wypuszczony przez uruchomione po wojnie gimnazja.

Struktura społeczności akademickiej poczyniła się zmieniać. Na miejsce dawnych studentów, pochodzących przeważnie z rodzin średnio zamożnych i drobniomieszczańskich zaczynały się pojawiać tu i ówdzie synowie chłopów i robotników. Jest ich jeszcze bardzo mało. Dumnie jednak noszą swe odznaki „Wici” czy ZWM, garną się do pracy szczególnie w organizacjach akademickich.

Zainteresowanie wypadkami politycznymi zaczyna ustępować miejsca szarej codziennej systematycznej pracy dobrze i starannie wykonywanej, tak bardzo charakterystycznej dla Poznaniaków.

Na czoło zainteresowań wysunęły się zagadnienia: 1) naukowe, 2) życia społeczno - organizacyjnego, wreszcie 3) intelektualno - artystyczne.

1) Prym w życiu naukowym Poznania widać oczywiście Uniwersytet wraz z profesorami, docentami i asystentami.

Konsumpcji wiedzy, tj. akademicy żywo interesują się zagadnieniami naukowymi. — Wiedzie to niejednokrotnie do dyskusji często ostrej, a spekulacja myślowa prowadzi do udanych — częściej nieudanych odkryć.

Młodzież podchodzi do nauki b. idealistycznie. Pragnie, aby ją cechowała powaga i niewzruszalność. Tymczasem w nauce, jak i w życiu panuje dużo poglądów skrajających się z sobą i nierozstrzygniętych. Na tym tle dochodzi u młodzieży do wewnętrznych konfliktów i rozczarowań. Mają bowiem profesorowie swoje upodobania, „kruczyki” jak to mówią studenci, są ograniczenia do pewnych systemów i kierunków naukowych, od których są zależni, w których tkwią i z tego powodu wymagają znajomości często tylko swoich odkryć i teorii. Są przeświadczeni o swej wielkości tak bardzo, że inne prądy lekceważą.

Tuż tkwi powiedziałbym największą tragedią młodzieży studiującej. Bo nie otrzymując podręczników skryptów napisanych przez swoich profesorów, korzystają z podręczników opracowanych przez obcych autorów, jakże często zupełnie lekceważonych i nieznananych. Czyż do uwierzenia jest fakt, że student studiujący biologię musi się uczyć konieczne ze skryptu wydanego w Poznaniu, bo jeśli czerpać będzie wiadomości z innego źródła np. z Warszawy — może nie zdać z tego tylko powodu egzaminu. Czy biologia jest inna w Poznaniu, a inna w Warszawie? Sprawa nie jest taka prosta, jakby się to ze studenckiego punktu widzenia wydawało.

Można zarządzić ziu chyba tak: spowodować, aby profesorowie wzięli się jednak do opracowywania podręczników. ewentualnie skryptów. Wtedy inteligentna młodzież mogłaby czerpać wiedzę z różnych źródeł, a na egzaminie łatwo przystosowałaby się do wymogów swego profesora.

Albo niech profesorowie zechcą zerwać z dotychczasowym systemem kurczowego trzymania się swych metod nauczania, które jeżeli nie utrwalone na papierze, nie predko wchodzą do skołatanych głów. Ale to są tylko plany i słowa.

2) Życie społeczno - organizacyjne kształtuje się w ramach legalnych organizacji studenckich.

Naczelną organizacją studencką jest Bratniak oraz Caritas Academica, powstałe dla spraw samopomocowych.

Mniejsze organizacje akademickie można podzielić ogólnie na 2 typy. Jeden typ to organizacje o zabarwieniu politycznym, a drugie to koła naukowe - samopomocowe.

Problemy natury społecznej nurtują młodzież akademicką słabo. Dyskusje nie są różnorodne i mało dla Poznania charakterystyczne. Tak samo jak gdzieś indziej walczy się tutaj poprostu marksizm i neokatolicyzm etc. Nie wiedzie tu prymu studium socjologii, jakby tego należało się spodziewać.

Z innych zagadnień społecznych bardzo żywo obchodzą studentów sprawy np. organizacji studiów. Niech świadczy o tym fakt dokładnego opracowania programu reformy studiów lekarskich przez studenta Machowskiego.

Pomysł został przyjęty przez ogólnopolski zjazd kół medyków i przedstawiony Ministrowi Oświaty. Domaga się w nim Machowskiej uprządkowania i przystosowania się do obecnych warunków i potrzeb studiów wyższych.

Niektórzy profesorowie dbają o społeczne nastawienie swych wykładów.

Upomina się prof. Dega o „stację naprawy motorów ludzkich” o specjalną ustawę dla chorych nieuleczalnie i chorych z wadami wrodzonymi.

Również wykłady prof. Janschera z chorób dzieci nie są pozbawione aspektu społecznego, czego nie można powiedzieć o wykładach z położnictwa, a przecież położnictwo specjalnie powinno być rozpatrywane ze społecznego punktu widzenia.

3. Życie intelektualno - artystyczne wśród studentów wyznacza przede wszystkim charakterystyczny dla Poznania kult dla muzyki. W żadnym mieście koncerty symfoniczne nie cieszą się takim powodzeniem, jak w stolicy Wielkopolski. Dobrze postawiona Opera jest tego wyrazem i namacalnym dowodem.

Teatry zaś mają wpływ na młodzież nieco mniejszy, a problemy wysuwane ze sceny rzadko są podstawą dyskusji i sporu.

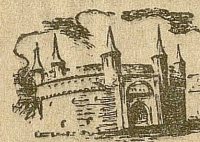
Dosyć chyba, jak na pierwszy list.

Całuję Cię mocno, Wieśku

Stach

Kraków, 12. X. 1947.

Leonardzie!



Wybacz mi, że przez tak długi czas nie odzywałem się, ale zajęty formalnościami związanymi z przeniesieniem się na Uniwersytet Łódzki z Jagiellońskiego, nie miałem dostojnie ani chwili wolnego czasu.

Dziś chciałbym nawiązać do naszej dyskusji na temat życia uniwersyteckiego w Krakowie.

List będzie nie o całej młodzieży krakowskiej Almae Matris, ale o pewnej tylko grupie, która przed wojną stanowiła blisko 80% studentów, a i dziś obsadza Wszechnicę Jagiellońską w większości. Jest to młodzież ze środowisk: szlachecko - ziemianckiego i tzw. „wolnych zawodów”, czy prywatnej inicjatywy — jak to się dzisiaj mówi.

Sto lat temu głosiła ta młodzież liberalne hasła wolności, równości i braterstwa. Walczono na ulicach miast Europy o równouprawnienie i postępową — jak na tamte czasy — konstytucję państwową.

Znam częściowo z książek, częściowo i z opowiadań mego ojca — socjalisty, — młodzieży akademicką Petersburga i Warszawy. Wystarczy zajrzeć w pamiętniki L. Krzywickiego, aby przekonać się, że akademicy szli zawsze pierwsi do walki o socjalizm. Nawet z historykami p. Moszecewskiej i Morozowskiej wnosiłem, że studenci zawsze bili się z uściskiem aparatu państwowego, rządami arystokracji, czy reakcji.

I dziś spora część akademików walczy o demokrację i socjalizm. Ale nie „złota młodzież” najstarszej w Polsce uczelni. Trzyma się ona jeszcze nadal przebrzmiałych mitów o potrzebie misji niesienia na Wschód Europy zachodniej cywilizacji. Dzieje się to w atmosferze dysput nad pojęciami zła i dobra, ustawionymi nie w płaszczyźnie historii ustroju społecznego, ale na wyabstrahowanej od życia społecznego płaszczyźnie filozoficznej.

Niewątpliwie działa tu konserwatywno-katolicka atmosfera tego grodu - dziwada. Mówię Ci, wierzę mi, że te tysiące poszłyby chętnie pod wodzą biskupów na Jasną Górę, aby Opatrzność pobłogosławiła tam sprawiedliwy mścyciel Chłobrego i kastet.

W tamtym roku dyskutowano namiętnie pośród młodzieży sprawę obrony autonomii szkół wyższych. Wszechnica Jagiellońska boi się upolitycznienia swego życia w imię czystości nauki. Nie chce wszczynać tu dyskusji na ten temat, ale pomyśl: ta negatywna postawa młodzieży wobec obecnego ustroju społecznego — to nie polityka?

Słynne zajęcia krakowskie — to także nie polityka? Właśnie za autonomią ukryta młodzież utrzymuje wyraźnie polityczną postawę negowania wysiłków narodu w jego walce o nowy sprawiedliwy ustrój społeczny.

Patrz tylko, co Ci wiecej katolicy zrobili z mitem Chrystusa! Zajrzyj tylko do rozma-

*) List ten pochodzi z przedwojennego środowiska „złotej młodzieży” endeckiej.

tych knajp. Znajdziesz tam zawsze tych wrogów demokracji i obrońców godności człowieka.

I przy tym wszystkim zdaje mi się, że są nadal pierwszą klasą społeczną, niestety pokrzywdzoną przez ustrój. Trudno, żeby wyznawcy teorii rasowych hr. Gobineau, Chamberlaina, czy Rosenberga, gdzie demokrację nazywa się rządami hołoty — mogli się zgodzić na równość społeczną z synami chłopów i robotników. Poczuć równości nie nauczy przecież sżywni i chłodni profesorowie, którzy właśnie pogłębiają koniunkturę na odrębności klasowej.

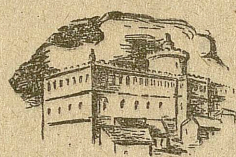
No i takie z tego rezultaty, że z uczelni krakowskiej wychodzą doktorzy nauki odizolowani od rzeczywistości społecznej, którzy wielką nieraz wiedzę zaprzeczają, nie umiając jej użyć społecznie.

Mój list do Ciebie, jest częściowo spowiedzią. Ostatecznie i ja uprawiałem po knajpach antypaństwową propagandę. I mnie się zdawało, że prawdziwe życie narodu płynie na czarnej giełdzie. Wyobrażasz sobie z jaką radością piszę Ci, że krakowski okres moich studiów — skończony.

Twój
Zdzisław.

Lublin, 28. IX. 1947.

Mój Kochany!



Ciekawi Cię atmosfera naszej lubelskiej uczelni, a właściwie naszych uczelni, bo są aż dwie, jak w żadnym mieście. Nie wiem, czy tkwiąc w tym po uszy zdołam się zdobyć na taką dozę obiektywizmu aby rzeczywiście o czymś Cię poinformować. Ale spróbuję. Jeśli nie znasz Lublina, nie nie zrozumiesz. Biegami Lublina są z jednej strony Katedrą i Katolicki Uniwersytet, z drugiej — targ i stacja kolejowa. Jest to miasto księży i handlarzy, miasto dewotek i spekulantów, miasto dobroczynności i wyzysku. Tu zewsząd utartymi w ciągu okupacji szlakami dąży, wyjeżdżają i przyjeżdżają ludzie o zaniedbanym wyglądzie zewnętrznym, ale mocnej strukturze moralnej, mocnej na tyle, aby torować sobie drogę łokciami i językiem w przepelnionym wagonie, ludzie bez zachodu nie handluje.

Struktura ekonomiczna miasta zawiera zdaje mi się wiele niemoralnego. Magistrat nie jest w stanie zapobiec ani szeregach się niedzi, ani da wszystkim pracę. Przy stacji ludzie zarabiają, czasem noszeniem bagażu, dostarczaniem przyjeżdżającym noclegów. Głębiej w mieście drobnym wypięciem ciastek, jak w czasie okupacji gdy robili to panie z dobrych domów. (Zresztą nawiasem mówiąc i dziś były ziemianki lubelskie, piekac ciastka, mają w tym powód do chluby, że jednak nie ich klasy nie zdołało zgnieść do końca). Trudnią się ludzie przeróżnym pośrednictwem, a dopiero potem pracą w fabrykach: związanych tu wyraźnie z rolnictwem i od niego zależnych.

Jest więc także to miasto — miastem chłopów, dziś przede wszystkim miastem uczącej się młodzieży chłopskiej.

Młodzież żyje w ciężkich warunkach. — Brak burs, mieszkań, brak domów akademickich, wszyscy zarobkują pracą dodatkową, która tak wreszcie pochłania, że zajęcia uniwersyteckie zaczyna się lekceważyć. Wszyscy tu „chodzą na uniwersytet”, mało kto uczęszcza na wykłady i seminary.

Zresztą nie wykłady i nie seminary decydują o atmosferze uniwersyteckiej, bardziej może duszpasterstwo akademickie i najczynniejsze z organizacji Sodalicia „Mariańska”, Caritas itd.

Dyskusja o lasce bożej uświęcającej lub uczynkowej niewątpliwie kształtuje sprawność umysłową studentów, utrwalia określone nawyki myślowe. W zarliwosci tej atmosfery katolickiej rywalizują ze sobą oba uniwersytety. Jeden prawniczy i humanistyczny, drugi raczej wyspecjalizowany w naukach ścisłych.

Nie jest to oczywiście najważniejsze. W po dobnym środowisku opinia liberała czy bezbożnika jest wcale przyjemna, stwarza nimb indywidualizmu, inności. Wierzący mają zawsze jakiś beznadziejny kult dla postawy buntu. Gorzej jest jeśli ta atmosfera wdziera się do pracowni i sal wykładowych.

Może innym razem napiszę ci coś o humanistycznej retoryce, zresztą w dobrym stylu i z tradycjami, o deklamacjach — na kulturalne tematy.

Dziś chciałbym napisać Ci o czymś, co niewątpliwie będzie dla Ciebie prawdziwym wspomnieniem o pewnym curiosum, czyli o dwóch przedmiotach obowiązujących wszystkich humanistów. Są to: etyka i psychologia. Myślisz, że nie w tym dziwnego. „Kuznica” w każdym numerze drukuje Garandiego piszącego o moralności, a psychologia jest nauką, która najbardziej może zawiodła idealistów i fideistów — nauką niemal przyrodniczą, empiryczną. Etyka jednak jest wykładem tylko i tylko etyki katolickiej z wyraźnym polemizującym nastawieniem wobec innych systemów, zaledwie dopuszczonych do istnienia. Coś jak Contra gentiles Tomasza. Bardziej polemiczny także niż empiryczny charakter ma wykład psychologii, który nie zadawała się podaniem stanu badań naukowych, lecz zawsze pamięta stwierdzić, jaka postawę zajmuje wobec tych badań — kościół katolicki. Nie wiem czy sadzisz, że sprzyja to wyrobieniu wiary szacunku dla nauki, dla nauki. A przecież tu mówię ci o największej o czystej nauce, o obywatelkach akademika katolickiego, polegających na dążeniu do wiedzy, do prawdy dla niej samej, a nie dla dożnej kariery czy przydatności społecznej. Wykład etyki katolickiej obowiązujący wszystkich studentów bez względu na ich przekonania religijne. Hoduje u nas ten

wygodny dziś moralizm, zrzucający z siebie odpowiedzialność za doraźne sprawy.

Przy tym właśnie uniwersytecie rozwija się „Studium społeczno-ekonomiczne wsi”, które Cię tak interesuje.

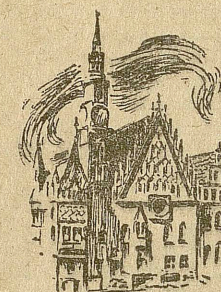
Jest to młody zielony pręt na zmurszałym, jak mi się wydaje pniu uczelni. Narazie nasiąka on jeszcze atmosferą ogólną, ale powtarzam Ci — Lublin jest nie tylko miastem księży i spekulantów, jest też miastem młodych chłopów. Mam nadzieję, że ze studium wsi wyjdzie rewolucja lubelska. Działające więc, umacniające się teoretycznie i ideologicznie, wnoszące wojnę chłopską na Katolicki Uniwersytet, który pamięta przecież i inne wojny studenckie — z mieczami.

Ja tymczasem wrócić do mego Iłaniciusa. I ten był chłopem.

Franek

Wrocław, 13. X. 1947.

Drogi Klemenście!



Nawiązując do naszych osobistych dyskusji, odbywanych na marginesie obrad zjazdu rytyńskiego, chcę Ci dzisiaj odpowiedzieć szczegółowiej.

Zaczna od polonistyk, zarezam Ci, że będę mówił cały czas sine ira et studio, możliwie w tonie beznamiętnego sprawozdawcy.

Wierząc mi jednak, że to bardzo trudno. Nie wiem, jak się sprawy mają na innych uniwersytetach, może częściowo lepiej, a częściowo tak samo, jak u nas. To znaczy — źle. Nie myśl znowu, że jest to sąd potępiający w zamian całą polonistykę wrocławską. Owszem i u nas mówią do rzeczy. Ale widzisz, co tu jest zasada. Jak wygląda wykład z historii literatury? Mówi się np. o Mickiewiczu. Otrzymasz może analizę twórczości, pisała w powiązaniu z konkretnym tłem społeczno-historycznym, krytyczny rozbiór jego dzieł wolny od przesładowych Cię z gimnazjum komunałów? — Nie po stokroć nie — odbywa się misterium, odprawia się wielkie nabożeństwo do św. Mickiewicza. Przede wszystkim prawie cała nasza literatura, a wieszczowie w szczególności, to święci zeszłego wieka dla głoszenia ludziom prawdy, dobra i piękna. Poetzie to wieszczbarstwo, poeta to platoniski „boski mąż”, przez poezję sięgający szczytów poznania, pośrednik między nami a wiecznością. Twórczość jego wypływa z natchnienia, a natchnienie ze źródła, które bije wiecznie i daje święty „szaf”.

Na prawdę! Poeta w interpretacji profesorów, to jakaś Pytla, hylająca odurzające dymy nad szczyłką delficką.

A jak ma się sprawa z teorią, z poetyką? O niej w ogóle nie się słychać, a od tego należałoby chyba zacząć. Po ukończeniu polonistyk nie będziesz wiedział, jak się brać do krytyki literackiej. Tak, mój kochany, sprawa jest na prawdę poważna. Pociesz się, że nasi następcy doczekają się może jako wykładowcy dr Jana Kołta, my tymczasem módlmy się o zwycięstwo myśli ścisłej — empirycznej i racjonalnej. Ale a propos dr Kołta. Otóż we Wrocławiu odbywały się czwartki literackie organizowane przez ruchliwe i aktywne Koło Młodszych Literatów i Języka Polskiego. Na jednym z niedawnych czwartków gościł właśnie J. Kołt, bojownik o nowy realizm. Czwartki mają bez wątpienia duże znaczenie dla rozbudzania życia kulturalnego we Wrocławiu, o czym świadczy chociażby duża frekwencja. Czwartki mają przeważnie charakter literacki, ale czasem i naukowy. Czwartki rozpoczęły w lutym 46 r. mają już dzisiaj za sobą dorobek złożony z 74 wieczorów. Do tego zaczynały się dołączać od 30.6.47, poniedziałki u literatów organizowane przez tutejszy Oddział Z.Z.L.P. — Tak więc widzisz, że strawy duchowej dla miejscowych entuzjastów literatury nie brak. Mam tu wszyscy nadzieję, że intensywna praca Koła nie pójdzie na marne i zainteresowanie literaturą zacznie zataczać szersze kręgi, jakkolwiek reprezentowały je na czwartkach nazwiska od Laso do Sasa, Dąbrowska, Andrzejewski, Kowalska, Zukrowski, T. Borowski, Truchanowski, Mach, Szewczyk, Baranowicz i inni, a naukę Kreutz, Mikulski, Kowalski.

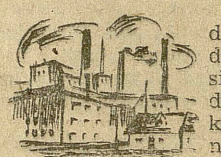
Pisać o życiu kulturalnym Wrocławia nie sposób nie wspomnieć o „Zeszytach Wrocławskich” kwartalniku literacko-krytycznym redagowanym przez T. Mikulskiego i A. Kowalską, o naszym świeżo upaństwowionym teatrze Dolnośląskim, który rozpoczyna własny sezon, „Cyrylikiem Sewilskim” Beaumarchaisa, o Instytucie Śląskim, badającym zabytki polskiej tej ziemi. Czy nie uważasz, że właśnie przez to związanie nauki ze społeczeństwem, i żywą problematyką społeczną, a społeczeństwa z nauką wiedzie droga ku temu, co nazywamy nowym typem kultury?

I tego się chyba doczekamy, chociaż z katedr, z których głosi się aeronautykę mistyczną, ta nowa kultura nie wyjdzie.

Wladek.

Łódź, 22. X. 1947.

Tadku!



Znamy Twoje wiersze drukowane w piśmie młodzieżowym i dowiedzieliśmy się, że w tym roku przyjeżdżasz na łódzką polonistykę. Skrytykowaliśmy mocno Twoje wiersze i jednocześnie ucieszyliśmy się, że już w tym roku zyskamy z Tobą i z wielu Twoimi kolegami bezpośredni „zawodowy” kontakt.

Twoja historia była dla nas pretekstem do szerszej dyskusji o tym, czy nasza polonistyka spełni wasze nadzieje i czy da nam wszystkim do ręki narzędzia dla przyszłej pracy badawczej w/g naszej diagnozy szybciej znacznie ulegnie zmianie skład socjalny młodzieży studiującej, niż dobór sił naukowych. Pomyśl, że Ty i na pewno wielu Tobie podobnych w ciągu dwu lat niepodległości nadrobiliście kilkuletnie zapóźnienia w swym wykształceniu, teraz startujecie do nauki uniwersyteckiej. Tymczasem wykształcenie nowej siły naukowej potrwa co najmniej dziesięć lat.

Na uniwersytecie wytwarza się paradoksalna sytuacja, która jest odbiciem zapóźnienia nauki wobec postępu społecznego. Audytoryum „ludowe” będzie karmione nieżywym antynomiami mieszczańskiej nauki; uniwersytet zaśmiewa umysły koncepcjami naukowymi, które mają wartość omal wyłącznie zabytkową.

Szczególnie sytuacja na humanistyce jest tragiczna. Na medycynie na przykład łatwiej znacznie krzewić się najnowsze osiągnięcia, które są dorobkiem obcych naukowców. Tymczasem sobie ten stan natychmiastową sprawdzalnością i praktyczną przydatnością medycyny.

Tymczasem u nas dotąd jeszcze są głoszone ex cathedra poglądy i metody, żywcem przeniesione z podręczników liczących sobie pół wieku. W badaniach literackich panoszy się nadal psychologizm i nieociosana biografistyka. Zresztą anegdota o uniwersytecie można by wiele przytoczyć (pytanie profesora, skierowane do studentki polonistki: „Jakie ptaki występują w „Grobie Agamemnona”?).

Przy dotychczasowym prawodawstwie uniwersyteckim nie było żadnej nadziei na jakiegokolwiek odświeżenie atmosfery naukowej polonistyki uniwersyteckiej. W reorganizacji wyższego szkolnictwa uwzględniono zmiany w sposobie habilitacji. Długo jeszcze trzeba będzie czekać, aby ośrodki naukowe pozauniwersyteckie nie były bardziej atrakcyjne niż naukowcy na uniwersytecie. Naturalnie, nasze pesymistyczne uwagi nie odnoszą się do całej humanistyki. Niektóre inne sekcje są w szczęśliwszym położeniu. Uniwersyteckie placówki są oparciem dla studentów w ich niespokojnych poszukiwaniach (np. ośrodek socjologiczny czy filozofia).

My sami przyszliśmy na uniwersytet z dobrą wiarą w autorytety naukowe i z ochotą do najpełniejszego czerpania wiedzy (od literatury asyryjskiej). Nadal zachowujemy podziw dla erudycji gromadzonej przez wiele lat. Ale też wyżyliśmy się wszelkich złudzeń co do jej przydatności i nowoczesności.

Nie urodziłyśmy się tak genialni, aby samodzielnie podjąć krytykę. To, co dały nam lata studiów polonistycznych zawdzięczamy w największej mierze frapującym publikacjom powojennym i osobistym kontaktom z poza — uniwersyteckimi ośrodkami twórczej myśli naukowej.

Dopiero teraz z perspektywy 2 lat widzimy jaką rolę spełnia w naszym rozwoju praca zespołowa. Wyrwani z gimnazjów i z systemu gimnazjalnego nauczania, byliśmy wszyscy omal równie zdezorientowani i zagubieni w rozmiarach problematyki naukowej.

Rzuciliśmy się wówczas na pracę w Kole Polonistów. Z początku skupialiśmy się w jednej z sekcji Koła — w sekcji badań literackich. Potem zajęliśmy się organizacją całego Łódzkiego Koła Polonistów, bowiem przykładamy wielką wagę do samodzielnego, zorganizowanego studiów młodych polonistów.

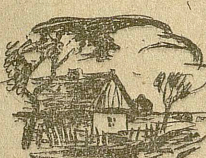
Pamiętamy, ile zrobiliśmy w dziedzinie unowocześnienia naszego studium Koło Warszawskie, w latach międzywojennych. Wydało ono niewiele rozpraw które jednak są trwałymi pozycjami w dorobku naukowym (Budyk, Hopensztand, Siedlecki, Żółkiewski i inni). Związki te były tym żywsze, że czuliśmy się bliżej ideologicznie grupie warszawskiej.

Rozpiliśmy się na temat naszego zespołu, ale wiąże się w nim najwięcej naszych osiągnięć i nadziei. Nigdy nasza grupa nie była ekskluzywna. Pragniemy ją rozszerzyć i więcej znacznie zrobić, niż w zeszłych latach, w których dopiero się kształtowała. Czekamy na Twój przyjazd do Łodzi i spotkanie w naszym gronie — na polonistykę.

Merka i Zygmunt

Kurowice, 22. X. 1947.

Drogi



Nie pisałem do Ciebie prawie od roku. Wiele się zmieniło, moje milczenie, między innymi matura i okres wahania — co z sobą robić dalej?

Beztrósko płynęły lata nauki w naszym chłopskim gimnazjum w Szczekocinach. Jakże inaczej przedstawia się nowy etap życia, w który wступujemy! Droga z gimnazjum prowadzi na rozdroża, gdzie darmo szukać drogowskazów. I dopiero teraz, kiedy przychodzi czymś być, działać, grać jakąś rolę w społeczeństwie, mogę już dobrze ocenić co mi dało gimnazjum. Znam naprawdę piękne cytaty naszych wieszczów: „mierz siły na zamiary” i „cierpieć za miliony” — ale nie umiem cierpieć miliony pomoc. Wiem jak wygrywała bitwy szlachecka konnica. Jeszcze dziś jeżdżą tak w kawalerkę młodzi chłopci do sąsiedniej wsi. I takiego konika dosiedli nasi profesorowie i wychowawcy, częściowo nawet ty — „kiedys nas uczył, choć nie przeczę, że i piechotę po chłopskiej

drodzą chodząc. Nie gniewaj się, moja trudna w tej chwili sytuacja — zmusza mnie o bejrzyć się w minione lata i szukać tam wytłumaczenia.

Mówiliśmy nieraz, jeszcze jako partyzanci A.K. o naszej pracy kulturalnej na wsi. Nie dziw się, mój zany belferze — ale choć zostałem nauczycielem ludowym — pod Łodzią, nie umiem sobie skonkretyzować mojej działalności społecznej wśród chłopów. Brak mi narzędzi oddziaływania, poprostu nie wiele umiem — ja — prymus gimnazjum. Że jest źle, że chłop biedny, oświata nie zupełnie upowszechniona, brak spółdzielni, szkół zawodowych dla odpływających ze wsi — to ja wiem i bez szkoły, jak każdy chłopski syn.

Któregoś dnia byłem na zebraniu „Wici” we wsi, w której ucze. Jak śpiewali przed wojną tak i dziś śpiewają wiciarze. No, ale jak przyszło układać program pracy związany z rzeczywistością — ręce mi opadły. Nie mam dostatecznej wiedzy, więc zostało po staremu. Kupiłem sobie kilka książek, takie jak „Historia chłopów” — Świętochowskiego, „Dzieje chłopów” — Sreniowskiego czy „Drogowskazy” Króla. Lektura nauczyła mnie wiele, ale pomyśl: po to siedziałem w chłopskim gimnazjum, żeby drugie tyle lat dociągać się elementarnej wiedzy o dziejach swojej klasy?

Postanowiłem studiować na uniwersytecie w Łodzi. Słyszałem, że jest to postępowo uczelnia. Bardzo mi zależało, żeby właśnie na takiej uczelni studiować.

Bo widzisz — znam już trochę studentów, szczególnie humanistów, którzy przejeżdżali do domów w Szczekocinach po kłębasa i, żeby się trochę widokiem łąk nad Pilicą odświeżyć.

Tacy gadają tylko na moście i przy zachodzie słońca. Opowiadali mi, że są bardzo rozwinięci duchowo. Chodzą do teatrów, na koncerty, gdzie sobie sublimują, czy jak tam — ducha, ale tak naprawdę to widzę, że oni do niczego nie należą, że nie odpowiadają a o wszystkim sadzą.

W Łodzi zapowiada się inaczej. Poszedłem piechotą — 15 km na egzamin i spotkałem się z przyjemną niespodzianką. Nie widziałem ci już panicyzów, którzy godzinę otrępywali by rekaw, gdyby się chłop o nich ołarł. Gdyby wprowadzić mamy nie piękne, no ale ostatecznie wszyscy wiedzieliśmy na egzaminie „co tam panie w polityce”. Daruj roztargnienie. Zapomniałem Ci napisać, że o ile mnie przyma, będę studiował ekonomię.

Spytasz skąd takie gospodarcze zainteresowania?

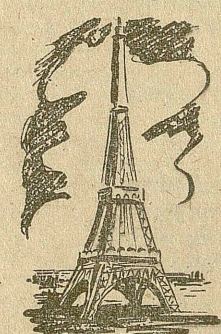
Opowiem Ci wobec tego pewne zdarzenie. We wsi, gdzie ucze, zamiast wygłosić kazanie, nawoływał z amboną kłębasa, dobrodziej do kopania kartofli na plebanii. Ta czynność gospodarcza jest na pewno potrzebna. Ale widzisz — chciałbym w dziejach społeczno-gospodarczych znaleźć rację dla plebana nawołującego do odrabiania nowej pańszczyzny. Mogłbym księdzu pomóc, bo go ludzie nie bardzo chcą słuchać.

Zdaje mi się, że uniwersytet uzbroi się wreszcie w narzędzia społecznego oddziaływania. Jest moim marzeniem założyć we wsi wzorowe koło „Wici”. Na następne zebranie Cię poproszę.

Bądź zdrów

Edek

Paryż, wrzesień 1947.



Kochana Anno. Wszystko co piszesz, bardziej niż jakiejkolwiek posłanie z kraju przypominało mi o powojennych polskich bólach. A ja tu już tak się niegdyś, jakby nie było nie poza moim pasywnym, stale gotowa na nową kąpiel, na nowe łaskotanie kultury, na nowe pobudki, których przyjemności nie zmniejsza się jakby tego chciały elementarne moralne, ale rośnie. Oto masz w tym obrazie wspaniały w swej klinicznej typowości przypadek, który usprawiedliwiałby zakaz wysyłania „narybku kulturalnego” na zgniły Zachód. Tłukłabym głową o ścianę, gdyby taki kierunek polityki wygrał w Polsce. Wierzę, że mimo wszystko nie zgłupiałam na Zachodzie na koszt stypendium państwowego.

Wiara w sens, co się u nas w Polsce dzieje nie zaczyna mnie bynajmniej opuszczać. Ale zrozumiałam nasze zdarzenia w kontekście europejskim z całą podwójnością. We Francji toczy się potężna walka za i przeciw inwazji amerykańizmu. Jedni widzą w tym ocalenie francuskiej kultury, drudzy zgubę. Poza tym silna liczebnie partia komunistyczna — ale o swoistym, odrębnym wyrazie. Można by więc trochę głupkować, ale nie bez słuszności podzielić Francuzów na: U.R. S.S., pro, Etats Unis — i wreszcie rodzimych ksenofobów „konserwe anararchizma”, jak ich tam ktoś nazwał, zwolenników samowystarczalności kulturalnej, wyrobów Lammberta, który im dłużej się kwasi, tym lepszy.

Moja miła, cokolwiek by przeważało — nie pozabawiaj tych najpotworniejszych nawet mieszcuchów z prowincji swoistej świadomości kulturalnej: świadomości historycznej, która nie da się na nie po marksistowsku, przeliczyć, ale daje temu narodowi, olbrzymie tory, możliwości: eksperymentu, swoistą tolerancję do znalezienia, gdzie indziej. I to często obok głupoty dbałości, wyłączonej o brzuch i chorobliwej ateńskiej skłonności do czyszego „wyzwolonego” gaudulstwa. Daleka jestem od adoracji francuskiego bourgeois, ale pełna wściekłej, dorobkiewiczowskiej zawiści wobec tej arystokracji.

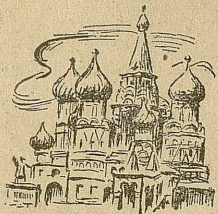
tycznej rasy, której nawet reforma rolna, a nie kolchozy nie zdołały wyrzucić spod nóg do robku dziejowego. Są sprawy w kraju, które zaczynają mnie przejmować dreszczem: polityka kulturalna.

Znasz mniej więcej mój „zarys pobytu” — prawda? Wiesz, że byłem przez miesiąc w Włoszech. Teraz siedzę od miesiąca w Royamont, starym gotyckim opactwie przerobionym na ośrodek kulturalny dla kulturowych darmozjadów. Znadto tu pięknie na jakiekolwiek rozmowy o reformie. Jutro wracam do Paryża... Obciążona międzynarodowymi znajomościami, całym piekłem narodowościowych „bezkompleksów”, trochę przygniecioną poczuciem naszej stałej misji dziejowej, bez której tak bezpłatnie żyją sobie wszyscy inni. Twój list pełen jest podskórnej „woli”, „czyń” — „stał”. Za jaką cenę można odzyskać taką postawę? Oczywiście za cenę realnej pracy.

Jaka jest teraz pozycja P.P.S. po zjeździe komunistycznym w Warszawie? Jaki jest kurs na literaturę? Pisz mi, moja droga!

Juli

Moskwa, w marcu 1947.



LISTEM DOKOŃCZONA ROZMOWA

Cegło dalekiej Warszawy
Znaczona śladem kul
I wy partyzanci prawy —
Jan Aleksander Król.

Dym z waszej fajki przesłania
Mdlawe malunki na ścianach —
— Słysz „drobne pytania”
w kraj mój nacielowane.

Pytajcie. Jakoś odpowiem.
Nie jestem tu przecież gościem.
Starczy nam dla tej rozmowy
tematów, słów i szczerości.

Gdy takich dwóch się dobierze,
Gdy oko z okiem się zetrze —
dosyć gadania w numerze!
Za mną — na świeże powietrze!

Dniu piątku powszedni!
Weź nas w obroty! I spraw,
byśmy za strażą twą przednią
puścili się konno i wplaw.

po grudzie, w ubraniach mokrych
(toście przecież nie mieszczuch!) —
Stoop! — oto Uralski Okrąg
plawi się w żyznym deszczu.

Kości od marszu boją,
Lecz nie daremne to trudy.
Nasz współtowarzysz — geolog
natrafił na złoża rudy.

Cóż ślad, że w życiu on częściej
znajdował nie kruszec, lecz sól?
On teraz dostąpił szczęścia,
szanowny kolego Król!

Może pan być spokojny.
On wie, czego chce w tej chwili.
— Ci, co wygrali wojnę,
wiedzą, o co walczyli!

Naprzód! Pójdziemy śladem
spraw piątkowej zwyczajnych
— Jak idzie geolog na zwiały
szukając złóż złotodajnych.

Nową partię młockarni
dostali z Moskwy Baskirzy,
turbiny klejnoty czarne
rzeki na siebie niżą.

Ropa naftowa pod świdem
bulgoce w Azerbejdżanie,
Syberia jeszcze przed świtem
ruszyła na polowanie.

Ostrożna ręka w kolchozie
słomą owija ul.
I górnik z kopalni wychodzi.
Smotritie, kolego Król!

Od potu jego i znoju
Ruda broczy posoką,
On dźwignął ojczyznę swoją
Na serca własnego cokoł.

Pasja go twórcza porywa,
Co mu zmęczenie czy ból?
— Oto szczęście prawdziwe!
Paniatno, kolego Król!

Co rzec wam na pożegnanie,
gdy ścisłami dłoń waszą bratnią,
— ostatnie „drobne pytanie” —
— a raczej życzenie ostatnie:

Zostańcie u nas na dłużej,
aby nam przyjrzeć się z bliska,
by Wielkiej Polsce powtórzyć
Wielką Prawdę rosyjską.

Wiktor Urin
(tłum. Jerzy Pomianowski)

Paweł Antokolski*)

O poezji, wychowaniu młodych i kulturze

Pewnego razu z jakiegoś tam powodu Puszkina rzucił podstępnie, czy też figlarne zdanie. Zdanie to stało się powszechnie znane i ogromnie często je komentowano, jak zresztą wszystko co kiedykolwiek wielki poeta powiedział. Oto ono: „Poezja, wybaczenie mi, musi być prostopadłością”.

Cała życiowa działalność Puszkina, jego oblicze duchowe, droga poetycka — to dowody czegoś wręcz przeciwnego. Pomimo tego, że Puszkina „żył i myślał” niesamowicie dużo, wiedział. Cała twórczość jego była ekstensywna, ustawicznie wymagała paliwa nowych wrażeń, podróży, książek, znajomości, uczenia się nowych języków, sporów z przeciwnikami, kontaktów z życiem, z historią, z przyszłością. Puszkina to pionier kultury swoich czasów, egzegeta, badacz i głosiciel. A pomimo to zdanie o poezji „głupiej” niejednokrotnie komentowano jako testament Puszkina i traktowano jako swoiste „grzechów odpuszczenie” dla niezliczonej masy talentów poetyckich. „Poezja głupia” — Co to znaczy? Po prostu: Poezja niezależna od sankcji intelektu — tego najwyższego stopnia działalności duchowej. Ona żyje życiem własnym — wewnętrznym. Oto, bardzo znana piosenka, która zdawczy nie rzadko i dzisiaj, a w niedalekiej przeszłości powszechnie panowała u nas i w poezji zachodnio-europejskiej. Poezja początku XX w. rozwijała się pod znakiem wyzwolenia z pod tyranii logiki i zdrowego rozsądku. Surrealiści i dalsi okrzyknęli pochod krzyżowy przeciw przemocy semantyki. Ojciec dekadentyzmu Verlaine w utworze sztandarowym: „Sztuka Poetycka” wykrzykuje:

Jak nawięcej muzyki, wystrzegaj się niebezpiecznego dowcipu, wiarołomnego rozumu, kłającego śmiechu, co łzami napętnia oczy jasnego lazuru — wystrzegaj się całej drańskiej, śmierzdzącej czosnkiem kuchni. Urwij łeb hydrze krasomówstwa. Jeszcze raz — powiadam — muzyki! — Wszystko reszta — to piśmiennictwo”.

Przeciw czemu zrywa się gniew francuskiego poety? Od jakich to nieznanych prawideł się oswobadza? To człowiek, przesycen krasomówstwem poprzedników, które sprawiło, że jednak poezja stała się działaczką-rewolucjonistką, niezbędną dla życia narodu.

Oto dlaczego nakazuje Verlaine utożsamiać poezję z muzyką. O to dlaczego wypęda z niej jak diabła jasność i logikę. Wszystko to, co uważa się za pseudo-literaturę, publicystykę, rzemiosło, prozę, plugastwo — beczące ową mowę bogów, jaką powinna być poezja. Oswobodźcie, oczyście oczy lazuru, aby nie tylko były bezchmurne lecz i bezrozumne. Wystrzegaj się „skrzeku rzeczywistości” — oto program francuskiego poety...

Tow. Żdanow w swoim niedawnym wystąpieniu jeszcze raz postawił radzieckiej sztuce, a przede wszystkim poezji i literaturze twarde i zdecydowane postulat służby narodowej, zajęcia stanowiska na linii ognia w walce ideologicznej. Poezja nasza, jak również wszelkie inne rodzaje sztuki, winna być poezją wojującego światopoglądu. Ażeby tak być, musi przede wszystkim posiadać ów

*) Paweł Antokolski, ur. 1896, wybitny poeta sowiecki. Utwory: „Poezje” — 1922, „Wiersze i Poematy” — 1934.

W zbiorze pierwszym zestawia rewolucję październikową z francuską, w drugim specjalnie cenny dramat o Villonie oraz obrazy z życia dzisiejszego Kaukazu. Antokolski łączy w swej twórczości pewien umiarkowany romantyzm i klasyczną dbałość o formę z żywym odczuciem rzeczywistości.

T. Ch.

Lech Budrecki

„TRAWA JEGO OPISU”

Coraz głośniej zaczęło się robić. Ostatnio dokoła t. zw. powieści katolickiej. Pisał Kisielowski, pisał Jakimiak. Ostatnim z tego cyklu rozważań był artykuł J. Dobraczyńskiego umieszczony w „Dziś i Jutro”. Pośród twórczości beletrystycznej 2 tylko typy książek zasługują na przymiotnik katolicki. A więc po pierwsze powieść „realistyczna”, mająca referować konflikt łaski i grzechu, zawierając równocześnie „sformułowane bariery dobra i zła” (Interesująca metafora!), po drugie utwory dotyczące problemu jak naśladując związanego z religią, problemu świętego. Przejrzyjmy katalog powieści, spojrzmy, co nie zasługuje na potępienie i co nie podlega ingerencji szatana. Balzac, Stendhal, Cervantes, Zola, wszyscy działali za sprawą diabła. Nie zajmowali się przecież ani konfliktem łaski i grzechu, ani problemem świętości. To ostatnie zagadnienie poruszał wprawdzie France, wątpliwe jednak w to, iżby Dobraczyński zachwycał się „Tais”. Katolicy nie lubią sceptycznych mieszczan. Gdzie więc jest realizm katolicki? Tieding nie pasuje. Sterne i Smollet też. Może więc przyjdzie ogłosić na łamach katolickich pism ankietę pod hasłem „Palmy klaszyskom”. Stary ojciec literatury nie czytał widocznie wskazań o „twórczym znajdowaniu się w nas i tylko w nas”, o tym, że „wystarczy zwykła miłość i o konieczności „wejścia w siebie”. Obawiam się, że nie czytał świętego Augustyna, z którego mądrość ta się wywodzi. (Za nadzwyczajną ścisłość językową tychże cytów biskup z Hippony nie ponosi odpowiedzialności). Stąd też nie wiedząc, iż „źródła zła nie znajdują się poza człowiekiem, ale w człowieku”, nie pamiętając

światopogląd. A więc czy może być „głupia”?

Przenigdy!

Poeza musi być politykiem i filozofem i historykiem i w ogóle człowiekiem znającym się na wielu rzeczach — znawcą dusz ludzkich wrażliwym i wszechstronnie uzbrojonym działaczem — i to działaczem nie w deklaracjach, lecz w samej twórczości.

Wszystkie żywotne tradycje rosyjskiej (a zaiste, wielkiej) poezji potwierdzają, że taka poezja nie tylko jest osiągalna, lecz że właśnie taka jest jej generalna droga. Od Lomonosowa do Puszkina, od Lermontowa do Błoka, od Niekrasowa do Majakowskiego ciągnie się ta gwiazdzista sztafeta. Pokolenie przekazuje pokoleniu poezję rozumną, intelektualną, treściwą, przodownicą kultury, zwalczającą wszystkie uroczne nierozsądk.

I kiedy Majakowski wykrzykuje:

„Jak śmiesz nazywać się poetą
I ćwierkać jak szara przepiórka.
Dzisiaj trzeba nam kasetem
Krajać światy w czerepach.
Podobne oburzenie czuli niegdyś nasi
działacze lat sześćdziesiątych.

Wielki poeta rewolucji nienawidził poezji skowronkowej i jej głupoty.

Wydał mi się, że w ostatnich latach jaśnień i wyraźniej niż inni sformułował zadania takiej poezji młody poeta Michał Lwów:

Pod czyją władzą poeta?
Gdzie kończy się jego swoboda?
Czym on jest poddany?
Przed kim ma padać na kolana
I poprawiać się?

Jest poddańcem swego pokolenia
I Prawdy Wieku — Prawdy Prawdy
I nie może sarkać

Na bieg życia i na swój okres
I wtedy wiersz będzie się rysował w duszy
Odrzuć w kształcie gotowym do druku.

Ostatnia myśl — w tych wierszach to doskonalą odpowiedź tym twórcom, którzy dzielą poezję na pisaną „dla siebie” i „do druku”. Lecz pozwólmy mówić dalej poecie:

„Nie dla poklasku

Nie dla chwilowego nastroju
Dajmy do wiersza jasnego.
Gdybyśmy nawet chcieli pisać kwieciste
To poprawi nas Wiek — realista
A na naszym miejscu
stanie sto milionów realistów.

II.

Z jakiej byśmy strony nie podeszli do zagadnienia wychowania młodego pokolenia literackiego, czy chodzi o jakąś specjalną uczelnię, jak np. Instytut Literacki w Moskwie, czy o bezpośrednią opiekę starszego pisarza nad początkującym, czy o jakąś inną formę wychowania, włącznie z konsultacjami i grupami przy redakcjach, zawsze główną naszą troską będzie codzienny i systematyczny ogólnokulturalny rozwój młodego pisarza.

I zbyt wczesna profesjonalizacja i zamknięcie osobiste i szeregu innych przyczyn, które tak trudno wymienić — wszystko to powoduje zjawisko wchodzenia młodego pisarza czy poety w życie przy bardzo jednostronnym przygotowaniu.

Zna świetnie technologię swego rzemiosła, umie na pamięć ulubionych autorów-klassyków i współczesnych, doskonale orientuje się we wszystkim, co dotyczy literackiej „codzienności” — ale jego horyzont myślowy jest więcej niż ciasny. Cóż on widział w życiu? Gdzie mógł ten horyzont rozszerzyć? Wszystko to odkładał na jakąś abstrakcyjną przyszłość, do niespełniającego się jutra.

I oto „jutro” dawno już zmieniło się we „wczoraj”, początkujący ma już pod trzydziestkę i jest do szpiku kości zawodowcem, drukuje w bardzo grubych pismach i gazetach — wydał już tomik. — A spróbujcie no go wyegzaminować z matematyki, logiki i historii. Czy czyta z księgi nieba? Czy rozumie szepot fal morskiej? Najniebezpieczniejsze jest to, że przewczesna profesjonalizacja doprowadza do rezultatów zupełnie różnych niż te, jakich się spodziewaliśmy. Paranas jest jak wiadomo górą stroną i śliską. Wielu z tych, co to rozdrapawszy kolana do krwi wspinali się na nią we wczesnej młodości po zdobyciu piętra spadają głową na dół. Powinęła się im noga. Brak jakiejś innej dodatkowej specjalności, nieprzyswoiczenie do pracy czyni z nich wykołajeńców.

Mniejsza w tej chwili o ich dramaty życiowe, który jest więcej niż straszny. Dla każdego pisarza, jak chleb i powietrze, niezbędny jest dopływ żywego materiału, żywych doświadczeń życiowych. A możliwości na to daje, i nie może nie dać jakaś druga specjalność, inna praca. Niedarmo Czechow i Wiesław byli lekarzami, Lomonosow — znakiem przyrodniczym, Szewczenko — dzielnym administratorem, Szewczenko — artystą-malarzem, Lermontow i Lew Tolstoj — kadrowymi oficerami. Ilu arcydzieł nie mielibyśmy w naszej literaturze, gdyby Ogniew i Makarenko nie byli pedagogami, Krymow i W. Grosman — inżynierami. Niżej podpisany otrzymuje wiele listów od młodych lekarzy czy techników, przedstawicieli innych zawodów — bardzo poważnych i wysoko cenionych w naszym państwie. Autorami są właśnie początkujący literaci. Chcieliby zapłacić za swoją literackość i sławę pisarską ceną niepomniernie wysoką, jeśli nie katastroficznie; gotowi rzucić zajęcia. Należy jak najmocniej wykazać faszywość i szkodliwość takiego stanowiska, nie przyjdzie im do głowy, że dopiero ich praktyka lekarska czy inżynierska otwiera najwłaściwszą i najdogodniejszą drogę, by stać się pisarzem samodzielny, o dużym doświadczeniu — pisarzem, który ma coś do powiedzenia innym. Taka powinna być szkoła poetycka.

III.

„Każdy z nas miał możność poznać w swej istocie dynamikę i styl naszej radzieckiej kultury. Jest to kultura socjalistycznej społeczności; otwarta ona na zawsze drzwi dla twórczej młodości: Wybieraj i szukaj, co ci do duszy przypada.

Twoją drogą — przeszłe i przyszłe! — Oto karta gwiazdzistego nieba! Oto wieczysta płynność Heraklita, oto pękający zbiornik energii atomowej, oto czas i przestrzeń Einsteina. Oto cienie szekspirowskich obrazy — skrzypcowe chóry Beethovena! A dobruń no do bieguna, a próbuj zachwycić oddech w stratosferze. A czy nie śracisz rezonu przed tysiącokilometrowym audytorium? A czy potrafisz trwać przez całą noc twarzą w twarz z twym rękopisem?

Oto oblicze prawdziwej kultury.

Kultura jest zawsze dynamiczna. Jeśli kultura w cudzysłowie jest konsumpcją dóbr, to ta bez cudzysłowu jest wytwarzaniem wartości. Jest ona uduchowioną twórczością wielu sił i talentów, skupionych dobrowolnie i związanym dobrowolnie jednym celem, jednym ideałem. W ten sposób dźwignięto olbrzymie pomniki architektury: Partenony, Kreml, Katedry gotyckie. Tak kształtowały się nowe rewolucyjne, prądy naukowe, filozoficzne, estetyczne. Tak powstają opromienione idea wspólnoty kolektywnej, brygady, spółdzielnie. Lecz zadań kultury nie wy-czerpuje jedna tylko dynamika wytwarzania wartości, kultura jest zainteresowana w uzupełnianiu kadry, to też zawsze zwraca się obliczem ku nowemu pokoleniu. Symboliczny zaiste obraz tej kultury — to zalane światłem audytorium i gwar młodości zapełniającej je rankiem.

Tu oto rodzi się historyczny pałos kultury. Troszczy się ona zarówno o przyszłość jak i o przeszłość.

I jeszcze jedno bardzo ważne znamie kultury. Kultura nigdy nie była domatorską rozrywką wybranych, nie cierpi dyktantyzmu ni kapryśnego mecenatu. Państwowizniany teatr, gdzie widzem był pomieszczył i jego goście, to jeszcze nie kultura, a tomik wierszy dekadenta wydrukowany dla przyjaciół w 500 egzemplarzach to już nie kultura. Malarskie płótna zamknięte w pałacach kupcy są zupełnie wykreślone z kultury.

Wyrwie się z nich na kształt wichru, w momencie, gdy otworzą się szeroko na rozcięcie drzwi prywatnych rezydencji, salonów, amatorskich kolekcji. Wtedy być może nastąpi daleko idąca zmiana ocen i ulica też rzeknie mocne swe słowo. Być może będzie się mylić, lecz zarazem nauczy się na błędach. Z punktu widzenia snobów taki obrót rzeczy nie będzie sprzyjać rozkwitaniu i rozwojowi kultury. Wtedy snoby odchodzą na stronę i czegoś tam czekają. Możliwe, że doczekają się, iż zawezwie się ich czasem jako arbitrowi eleganciarum, lecz naogół życie nie czeka na nich; przechodzi do porządku dziennego.

Nasza poezja radziecka stoi na linii ognia, wraz z całą kulturą. Weszła w blizną zbroi rozumu. I to już nie historyczka z burzązyskiego salonu, nie beznamiętne monstrum ze skrzydełkami z gazy, lecz towarzysza broni Majakowskiego, córka wielkiego narodu, wlecznie młoda, z gorejzami oczyma, obdarzona wysokim, dźwięcznym głosem, który chwytą za serce ktokolwiek go posłysz.

Tłum. Tadeusz Chróścielewski

Franciszek Kuś

P A M I Ę T N I K I

POLSKA KRAKOWSKA 1897

Na wstępie zaznaczyłem, że u Szpelkowej mieszkało nas czterech: ja, Alszner, Gajewski i Krówka, później przybył mi jeszcze kolega Stohandel, szczerzy i serdeczny mój przyjaciel. Utrzymywał się sam, ale oprócz stypendium miał jeszcze dobrze płatną lekcję, powodziło mu się wiec lepiej niż mnie.

W polityce cicho było, ale wkrótce zawrzało jak w ulu. Premierem wówczas był Kazimierz Badeni, były namiestnik galicyjski. Wydał on sławne rozporządzenia językowe dla Czech, co pobudziło Niemców austriackich do wszczęcia gwałtownej obstrukcji w parlamencie. Poparli ich socjaliści, głosząc ze rozporządzenie to pogwałciło konstytucję. — Niemcy wyszli na ulicę i demonstrowali przeciw Badeniu, który też niebawem podał się do dymisji, a ster rządu objął Gautsch.

Za moim pośrednictwem zaproszono nas na wiec akademicki do sali browaru Johna przy ulicy Lubicz. Ze mną poszedł Skoczynski, Gołabek i Stopandel. Na wiecu tym uchwalono adres hołdowniczy dla Badeniego. Z akademików jeden tylko Wojnar, przeciw temu protestował i przypominał badeniowskie gwałty wyborcze i łamanie ustaw. Protest jego zaledwie kilku kolegów poparło i nawet nie był wzięty pod rozwagę.

Po uchwaleniu adresu wyszliśmy na ulicę ze śpiewem na ustach. Co chwila rozlegały się okrzyki: precz z Gautschem i śpiewana była piosenka: Do du...y z Gautschem!

Policja towarzyszyła nam w pochodzie, ale nie interweniowała i nie rozpedzała nas, tylko komisarze prosili, abyśmy tak brzydko nie śpiewali.

Przyszedłem po północy do domu i musiałem się jeszcze zabrać do pisania elaboratu z rachunków, który nazajutrz miałem Wojciechowskiemu doreczyć do oceny. Byłem i śpiący i pod wrażeniem nocnej demonstracji, napisałem więc elaborat krótki i niedość starannie.

Otrzymałem ten elaborat z dopiskiem Wojciechowskiego: „Elaborat lichy, świadczy o smutnie o lekkomyślności uczącego. Kandydat nie rokuje nadziei w przyszłości jako nauczyciel”. Pomyślałem sobie wtem: „gdybyś ty wiedział, w jakich warunkach pisałem ten elaborat, nie wydawałbyś tak lekkomyślnego sądu o mnie”. Byliśmy tu obydwaj lekkomyślni, ja z powodu elaboratu, on z powodu sądu o mnie. Lekcja, którą miałem z rachunków nawet dość dobrze mi poszła.

Rozporządzenia językowe Badeniego, które Gautsch cofnął, rozpetwały nową burzę w parlamencie. Przyszło do nowych demonstracji po miastach. W Krakowie odbył się olbrzymi wiec z udziałem posłów czeskich. Kontrdemonstrację urządzili socjaliści. Obydwie demonstrujące strony spotkały się w Ryńku, obok odwachu. Jedni śpiewają: „Jeszcze Polska nie zginęła”, drudzy „Czerwony Sztandar”. Byłoby może przyszło do bójki, bo obydwie strony wzajemnie się prowokowały, ale nadjechał oddział austriackiej konnicy i tłumy zepchnął na chodniki. Przeciwnicy ustąpili z pola bez walki.

Krakowowi trzeba przyznać, że nawet demonstrację urządzać umie. Wszystko, co robi, cechuje powaga, a jeżeli zdarzają się i tu wybryki, to tylko dla potwierdzenia reguły.

Za parę dni woła mnie, Skoczynskiego, Gołabka i Stohandla dyrektor do kancelarii. Zapytuje nas, czymś byli na wiecu akademickim i czy do Komitetu, który z nas należy. Odpowiadamy, żeśmy na wiecu byli, a do Komitetu wydelegowaliśmy kolegę Skoczynskiego. „Lepiej byście pilnowali nauki — mówi nam dyrektor — coż wy mizerni seminarzyści znaczyć możecie wobec takiego premiera? Radzę wam, wycofajcie się z Komitetu i zaniechajcie wręczania, czy przesyłania jakiegokolwiek adresu do niego!”

Przyrzekliśmy zastosować się do jego rady i wyszliśmy z kancelarii. Po naradzie wysłał nam pismo do zwyczajnego Komitetu, iż z łatwo zrozumiałych przyczyn, delegata naszego odwołujemy i sami się z Komitetu wycofujemy.

Kraków przygotowywał się do jubileuszu mickiewiczowskiego i do uroczystości odsłonięcia pierwszego na ziemiach polskich pomnika wieszcz. Miasto było wspaniale udekorowane festonami, flagami o barwach narodowych i miejskich. Przed Sukienicami ustawiono trybuny dla gości, dalej wzniesienie dla chóru, tuż przed pomnikiem trybuna dla mówców i przedniejszych dygnitarzy i gości.

O godzinie dziewiątej odbywało się uroczyste nabożeństwo w katedrze na Wawelu, po którym uderzył dzwon królewski. Zgłębili, głosząc Polskę chwale syna, który „za miliony kochał i cierpiał katusze”.

Rynek zappełniał się ludźmi. Na mównicy stanął przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika, marszałek kraju, Stanisław Badeni we wspaniałym stroju polskim, tuż obok na trybunie-honorowej znakomici goście, między innymi syn wieszcz, Władysław Mickiewicz, powieściopisarz Teodor Tomasz Jężyński. Chór z kilkuset śpiewaków złożony ośpiewał okolicznościową kantatę, skomponowaną i dyrygowaną przez Władysława Żeleńskiego, po czym na dany znak z pomnika spadła zasłona. Odezwali się huragan oklasków, a mowę wygłosił Stanisław Badeni. Wszystkich mów i mówców nie pamiętam, tylko pierwszego i ostatniego Jakóba Bojko, który przemawiał imieniem włościństwa polskiego. Znowu chór ośpiewał szereg pieśni, z wieszcz Mariacki ożwały się dźwięki pieśni narodowej i zaczął formować się pochód na Wawel, celem złożenia wieńców na grobie wieszcz.

Najpiękniejszą, najbarwniejszą i sercu najbliższą w pochodzie była gromada dzieci szkolnych ze wsi powiatu krakowskiego, ubranych w prześliczny strój krakowski, z ogromnym wieńcem z polnych kwiatów. Mali chłopcy w sukmanach podnosili krakuski z pawimi piórami do góry, kroczyli z zuchowatą miną; dziewczęta w krasnych gorsetach i tybetowych spódniczkach niemniej dzielnie maszerowały, a wszystko to stanowiło tak piękny obraz, że człowiek go nigdy nie zapomni.

Już nie zajmowały mnie inne grupy, ani bogate kontusze, czy poważne czamary, nie patrzyłem z taką miłością w duszy i radością w sercu na śmiałe postacie górali podhalańskich, jak właśnie na działwę szkół wiejskich. A przecież i maszerujące oddziały braci szkolnej, jako obraz teźny polskiej, napełniały dumą każdego Polaka. A między sokołami polskimi widziało się czeskich i ruskich sokołów, którzy wówczas jeszcze nie hołdowali takiej nienawiści do wszystkiego, co polskie, jak później i tylko pewne jednostki już wówczas nas nienawidziły.

Nie będę opisywał ani ćwiczeń sokołach, ani dekoracji miasta, gmachów lub ulic, ale wspomnę o zatargu, jaki powstał między mną, a gospodarzem moim, Rusinem Szpelką. Przed wieczorem powiedział mi, aby przygotować okna do iluminacji i kupić świeczki. Odpowiedział mi, że świeczek nie kupi i świecić nie będzie. No to ja kupię świeczki za swoje pieniądze, a świecić się musi, odpowiadał. A ja nawet za pańskie pieniądze świecić nie pozwolę, odpowiadał mi gospodarz. To my pana z pańskiego mieszkania wyrzucił i świecić będziemy, podpowiadał mi Krówka. I wkrótce i Stopandel, i Alszner i Gajewski powiadają mi, że w kuchni może se nie świecić, ale my pokój opłacamy, zajmujemy i wara mu od rządzenia w nim. Niech cicho siedzi, bo my się z hajdamakami uporać potrafimy. Widząc naszą postawę, dał za wygraną i ażeby do pokoju nie tracić prawa sam kupić świeczki i sam je zapalił.

STUDENT PĄTNIK

W lipcu 1906 r. udałem się z harbutowska kompanią na odpust do Częstochowy. Ażeby paszport dużo nie kosztował, organizowaliśmy rodzinę, a wtemczas taki paszport kosztował niewiele. Ja jako syn Golonki na nim figurowałem.

We wsi wyjechaliśmy furmankami do Krakowa, a stąd pieszo do Częstochowy. Przenocowaliśmy się u Osuchowskich i jeszcze rano nie wstałem, gdy przyszedł brat z pożyczonym paszportem gotowy z nami do drogi.

Z miasta szliśmy za kompanią, dopiero później dołączyliśmy się i już do Modlnicy szliśmy razem. Pierwszy raz w życiu miałem kordon graniczny przekraczać. Jakkolwiek na komorę celną przybyliśmy wcześniej, to na Golonkę musiałem czekać, bo przecie jako ojciec miał nasz paszport.

Zaczęła się rewizja pakunków. Mnie, jako takiego pątnika, który, prócz ubrania, nic na sobie nie miał, nie rewidowano, ale Golonka miał kilka paczek austriackiego tytoniu. Kiedy go strażnik rosyjski zapytał co ma, wyjął wszystkie tytoni i powiedział: „Miałoby wasze państwo skopać, to se to weźcie”. Usmiechnął się na to strażnik i tytoni mu zwrócił.

Jako pątnicy poszliśmy prosto do kościoła poreformackiego, gdzie oddaliśmy pokłon cudownemu wizerunkowi Chrystusa, a nazajutrz po nocnym spoczynku byliśmy na nabożeństwie. Wypogodziło się nareszcie i po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Ponieważ nieco drogi obeszliśmy, mogliśmy chodnikami i ścieżkami błoto obejść.

Weszliśmy w okolicę piaszczystą, widać było miejscami piaski lotne, miejscami już zasiane lubimem lub zasadzone lasem. Po południu wkroczyliśmy do miasteczka Lelowa, którego nazwę nasi na Lelów przekreśli. Natrafiliśmy na jakąś galówkę, bo sklepy były pozamykane, ale przeszliśmy sienią do jakiegoś szynku i tam uraczyliśmy się piwem. Nasz Golonka wlał sobie więcej niż było potrzeba, to też, gdy wyszliśmy za miasto i Kasper w imieniu kompanii zęgnął cudowny obraz Matki Boskiej Lelowskiej, Golonka mu przerywa, mówiąc: „Cekaj Kasper, Golonka powie dwa słowa”. Zwraca się w stronę miasta i woła: „O Matko Bosko Lelowska, wybiłaś Szwedów i Tatarów, wybił te psiekrę Moskale i Miemców” i krzyżem padł na ziemię. Kasper się ulak wzmianki o Moskalach, ale pomruczał trochę i dał spokój.

Jak zwykle wczesnym rankiem zbudził nas przewodnik i ruszyliśmy w drogę. Przed południem jeszcze zdążyliśmy do miasteczka Przyrowa, ale tam nie zatrzymaliśmy się dłużej, bo spieszo nam było do sąsiedniej osady Świętej Anny. Pielgrzymi uważają ową osadę za dalszy ciąg Przyrowa, lecz zarówno na mapie, jak i w rzeczywistości stanowi ona odrębną jednostkę. Słynne cudownym obrazem św. Anny w tamtejszym kościele. Nasza kompania udała się też prosto do kościoła, a oddawszy pokłon cudownemu obrazowi, rozłożyła się obozem na przyległym placu na południowy spoczynek.

Wdałem się w rozmowę z jakimś kacapem, który sprzedawał orzeźwiający napój, zwany krótko kwasem. Smakował on mi wybornie. Kacap ten opowiadał mi, że w czasie powstania styczniowego pełnił służbę na granicy, później dostał posadę w Kongresówce, ożenił się z Polką, żył z Polakami i ani myśli stąd się wynosić. Miał także ładną harmonijkę, na której pozwolił sobie na zagranie: Jeszcze Polska nie zginęła i kilku krakowiaków. Po obiedzie idziemy dalej, ale

że już Kasper pielgrzymkę dobrze czuł w nogach, szliśmy bardzo powoli. Na nocleg mieliśmy zdążyć do Gidel, ale zaledwie do wsi Borowej zaszliśmy. Obydwaj z bratem wykopaliliśmy się w rzeczułce, płynącej do Warty i napiliśmy się po szklance piwa. Szynków w mieście tam jest dużo, ale przejdiesz kilka mil, a na wsi piwa się nie napijiesz, bo szynków nigdzie nie ma, tylko sklepy monopolowe z wódką.

Do Gidel zaszliśmy dopiero na drugi dzień rano. W miasteczku tym są 3 kościoły: jeden zaraz na skraju ogromny kościół pokartuski, dziś parafialny, ma w swych podziemiach zmurowane zwłoki przed kilkuset laty zmarłego zakonnika, doskonale zachowane. Dawniej pokazywano je pielgrzymom, dziś władze kościelne, czy świeckie pokazywania tego zabroniły.

Stamtąd udaliśmy się do kościoła dominikanów, gdzie mieści się maleńki, cudowny wizerunek Matki Boskiej, ponoć przez chłopka z ziemi wyorany. Z dawnych zakonników pozostał jeden jedyny przy życiu zakonnik, rząd bowiem rosyjski po powstaniu styczniowym zabronił przyjmowania nowych członków do zakonu i zniósł nowicjaty, jedynie tylko w Częstochowie paulinom na utrzymywanie nowicjatu pozwolił.

W Gidlach spotkaliśmy się z olbrzymią kompanią piotrkowską, która również do Częstochowy zdążyła. Trzeci kościół, a właściwie kościółek, niegdys parafialny, dziś zaniedbany, leży przy drodze do Częstochowy. Tuż obok niego, jako osobliwość, olbrzymi dąb, pamiętający jeszcze czasy pogańskie. Jak głosi miejscowa legenda, pod tym dębem miał jeszcze św. Wojciech nauczać, udając się do Prus. Niestety, dąb ten już wówczas był suchy, bez kory i gałęzi i jedynie suchymi konarami, wyciągniętymi w niebo skarzył się na barbarzyństwo ludzi, którzy po odrobinie nożami maleńkie drzazgi odłupywali i na jakieś lekarstwa używali. Ano, wiara ludzi uzdrawia.

Z Gidel szliśmy cokołwiek szybciej i dopiero w Klomnicach obok stacji kolejowej zatrzymaliśmy się na dłuższy spoczynek. Tam wdałem się w rozmowę ze studentem gimnazjalnym. Zaczął on mnie pytać o nasze stosunki polityczne, ale gdy zauważyłem, że on o przeciwnikach argumentem rozprawić nie umie, że według jego zdania klótnie partyjne rozstrzygać można tylko przy pomocy browninga, przeprosiłem go i wmszałem się w tłum naszych ludzi. W ogóle rozmienienie tutejszych polityków przechodziło granice mojej wyobraźni; wychowany w państwie konstytucyjnym, przyzwyczajony do zwalczania przeciwnika argumentami, nie miałem pojęcia, co się tu dzieje, mimo, iż dowiadywałem się o nich z naszych dzienników. Wszak u nas na zgromadzenia socjalistyczne przychodzili jezuici, głos niejednokrotnie zabierali i wosm im z głowy nie spadł, podczas, gdy tam z przeciwnikami rozprawiano się browningiem, czy nożem.

Po południu zdążyliśmy na jedno wzgórze, skąd w oddali zamajaczył szczyt wieży kościoła jasnogórskiego. Tam przewodnik wygłosił do pątników mowę, podczas której kobiety płakały. Ja z bratem usunąłem się, aby ględzenia Kasprowego nie słuchać i ukryty na między za zbożem położyłem się dla wypoczynku. Przewodnik w swej gorliwości religijnej przesadzał, a w przemówieniach do pątników niekiedy dopuszczał się obrazy ludzkiej, sam siebie za jakąś wyjątkową osobę uważając. Dopiero, gdy kompania w dalszą podróż ruszyła, poszliśmy i my za nią, lecz o jakie 200 kroków przed nią.

W miarę zbliżania się do miasta, spotykaliśmy liczne rzesze robotników, śpieszących do pracy i coraz więcej fabryk, aż wreszcie około godziny 10-tej wkroczyliśmy do miasta. Tam wstąpiliśmy do kościoła parafialnego, stojącego tuż obok rynku, po czym szerszą i drzewami wysadzaną aleją Panny Marii zdążyliśmy wprost na Jasną Górę.

Zdziwiłem się też niemało, zobaczywszy na frontonie cerkwi prawosławnej obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

U stóp Jasnej Góry stał pomnik cara Aleksandra II z polskim i rosyjskim napisem. Chciałem go przeczytać, ale przechadzający się tam żołdaci moskiewscy odstraszali mnie od tego, bo ponoć ubiegłego roku zamach bombowy na niego urządzono. Wiedziałem o tym i nie odważyłem się za blisko do pomnika zbliżyć.

Poszliśmy ku figurze Matki Boskiej, stojącej opodal bramy klasztornej, gdzie za pewną opłatą stosowną przemowa paulin witał pątników. Stanęliśmy i my pod tą figurą i nas też ksiądz powitał i do kościoła wprowadził.

Udaliśmy się prosto do kaplicy Matki, oddaliśmy pokłon cudownemu obrazowi, po czym wyszliśmy z kościoła, aby poszukać sobie kwatery. Umieściliśmy się w jakiejś stodołę. Po zjedzeniu obiadowego posiłku, poszliśmy zwiedzać kościół i klasztor. Sam kościół nie wywierał tego wrażenia na pobożnego pątnika, jakie wywierają stare gotyckie świątynie krakowskie. Natomiast kaplica uroczyscie człowieka nastroja. Nastój ten jednak jest odmienny od nastroju jaki budzi się w duszy Polaka wkraczającego w mury katedry na Wawelu. Tam budzą się uczucia religijne, tu religijne i narodowe; tam człowiek skłania się do modlitwy, tu do rozmyślenia i dumania. Podczas, gdy klasztor częstochowski związany jest tylko z historią Polski z czasów najazdu szwedzkiego i konfederacji barskiej, katedra z całocią dziejów naszych. Tam obraz przemawia do duszy chrześcijanina, tu każdy kamyk, każda cegielka przemawia echem minionej wielkości.

Gdy jedni z Polaków Jasną Górę uważają za najświętsze miejsce w Polsce, zaś inni katedrę na Wawelu, ja staję po stronie tych ostatnich i daję pierwszeństwo katedrze.

Obejrzawszy kaplicę, kościół i krużganki dokładnie, wyszedłem na plac przed kościołem, gdzie u stóp figury czekała na przywitanie kompania piotrkowska, ta właśnie, z którą spotkaliśmy się w Gidlach. U stóp tej figury zebrała się młodzież kompanii i ośpiewała głośno pieśń: „Boże coś Polskę”, po chwili dopiero przyszedł ksiądz z klasztoru i w płomiennym przemówieniu wskazał na obowiązki Polaka w dobie dzisiejszej. Mowa nastrojona na nutę patriotyczną wywarła na słuchaczach głębokie wrażenie.

Z orkiestrą i chórgwiami kompania udała się do klasztoru, a ja z bratem udał się na wały, aby obserwować miasto i okolice.

W tym samym dniu zwiedziliśmy jeszcze kościół św. Barbary i znuzeni poszliśmy spać. Nazajutrz rano poszliśmy na nabożeństwo do kaplicy, gdzie podczas Mszy św. śpiewał chór klasztorny godzinki. Po nabożeństwie i śniadaniu, ja, brat i Golonka poszliśmy do knajpki na szklankę piwa. Siedziemy sobie zupełnie swobodnie, aż tu nadchodzi jakiś towarzysz z plikiem gazet w teczkę. Przystępuje on od razu do mnie i wiska mi gazetę w rękę. Czytam tytuł: Czerwony Sztandar, Organ partii socjalistycznej Królestwa Polskiego i Litwy. Zapytuję go, czy nie ma innej gazety. Powiada, że ma „Robotnika”, organ PPS. Biorę go, płać zań 3 kop. i zabieram się do czytania. Na to zwraca mój uwagę ów „towarzysz”: „widzę, że pan nietutejszy, niech pan to czym prędzej schowa, bo łatwo mógłby się pan na Sybir przejechać”. Złaziłem się, bo na paszporcie figurowałem jako syn Golonki, mogłoby więc i o podszycie się pod cudze nazwisko być oskarżony i gazetę natychmiast schowałem.

Na placu przed bramą klasztorną widzę ogromne zbiegowisko ludzkie. Zapytuję, co się stało? Ano nie widzi pan — powiada mi pewien robotnicarz — że niosą zabitego rewirowego, którego przed chwilą młody pepesowiec z browninga zastrzelił?

Widząc, jak policja rozbiegła się na wszystkie strony, szukając zabójcy, wróciłem do kościoła, przeszedziałem na chwilę i potem dopiero, gdy już zbiegowisko było rozproszone, poszedłem na kwatery „Robotnika” przeczytałem od deski do deski i podarłem na drobniutkie kawałeczki. Po południu znowu poszedłem na nieszpory. Widziałem tam mnóstwo żołnierzy rosyjskich, a między nimi i jednego Chinczyka z warkoczem. Modlili się oni narówni z naszymi z czego wynioskowałem, że różnica obrządku wschodniego a zachodniego nie jest tak wielka i nienawiści między katolikami a prawosławnymi nie ma. Nienawisć szerzy góra dla celów politycznych, podczas gdy gmin i tu i tam widzi tylko chrześcijan.

Aby przecieć coś z Częstochowy przynieść, kupiłem kilka paczek doskonałej tabaki zielonej, która miała przyjemniejszy zapach od austriackiej. Spodziewałem się to przynieść łatwo, bo nie miałem żadnego pakunku, a w kieszeni mogłem wiele różnych rzeczy prze myć, nie narażając się na zarzut przemysłnictwa.

POLITYKA CHŁOPSKA 1906

I w polityce zaznaczył się ruch wielki. Parlament austriacki uchwalił nową ordynację wyborczą, wprowadzającą powszechne prawo głosowania. Główny postulat stronnictwa lewicowych został wywalczony. Trzeba było masowy wyborców z nowym sposobem głosowania zaznajomić. Urządzano więc w tym celu osobne zgromadzenia i wiece.

W Harbutowicach pierwszy taki wiec urządziłem w lutym 1907 r. w izbie Jana Kocandę na Coskowie. Głos drżał mi ze wzruszenia, gdy zgromadzenie to zagajałem. Ale pierwszy mój występ publiczny wypadł dobrze, a mowa na słuchaczach wywarła dodatnie wrażenie. Pierwszemu temu wiecowi w Harbutowicach przewodniczył Józef Rusin, wójt z Biełkówek i on też odpowiedni referat wygłosił. Wiec zakończyliśmy ośpiewaniem hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła” i pieśnią: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem”.

W marcu 1907 r. zwołał Stapiński do Wadowic zjazd delegatów gminnych komitetów ludowych celem wyboru kandydata na posła. Zjazdowi przewodniczył Andrzej Średniawski z Górnej Wsi przy Myślenicach, b. poseł sejmowy. Stapiński chciał przeformować kandydaturę Bernadego, kierownika szkoły z Woli Radziszowskiej, albo Dziabka z Zygodowic. Delegaci jednak w tajnym głosowaniu ogromną większością głosów wysunęli kandydaturę Średniawskiego i Stapiński z wolą ludu musiał się pogodzić.

Ponieważ wówczas wybierało się także zastępców posłów, więc polecono na zastępcę Bernadego. Na owym zgromadzeniu zobaczyłem także studenta z piątej klasy gimnazjalnej. Pytam się Styły, co to za student? A to Putek, syn kolejarza, który mimo młodociane go wieku interesuje się polityką ludową. Poznałem jeszcze Starowicza z Krzywaczki, który miał ochotę bodaj zastępcą posła zostać, a gdy zauważył, że nic z tego nie będzie, poszedł tam, gdzie można było coś uzyskać.

Okręg nasz obejmował powiaty sadowe. Myślenice — Skawina — Kalwaria — Wadowice — Zator i wybierał dwóch posłów. Ludowcy liczyli tylko na jeden mandat i jedna tylko kandydatura wysunęli. O drugi mandat ubiegali się: Marek Łuszkiewicz, marszałek powiatu wadowickiego, Mikołaj Klakurka, adwokat z Myślenic, Franciszek Sulczewski, urzędnik Kasy Chorych z Krakowa i Stanisław Kuzia, naczelnik sądu w Skawinie.

Ludowcy rozwinęli szaloną agitację za Średniawskim. Ja sam w wolnych chwilach od nauki uganiałem po powiecie, urządzając wiec. W samych Harbutowicach, Palczy i Baczynie odbyliśmy 5 zebrań, nie licząc Sulkowic, Myślenic, Kalwarii, Izdebnika itd.

W naszych okolicach pomagał mi Jan Trąbka, ów towarzyszy młodzieńczych lat w Izdebniku spędzonych. Z nauczycieli prócz wspomnianego już Bernadego, agitowali jeszcze Michał Baścik z Myślenic i Stanisław Parys z Krzywaczki. Trzeba było wielkiej odwagi cywilnej na owe czasy, aby nauczyciel mógł się odważyć na wzięcie udziału w agitacji wyborczej na rzecz kandydata stronnictwa skrajnego, za jakie uważano Stronnictwo Ludowe. Mimo pogroźek pracowaliśmy dalej i zyskaliśmy pełne zaufanie ludu.

Nasz obwód wyborczy obejmował: Harbutowice, Palczę, Baczyn i Zachełmną. Głosowanie odbywało się w szkole. Należałem do komisji wyborczej, więc w dniu wyborów w agitacji udziału nie wziąłem. Przydałem się w komisji, bo kiedy jeden z członków chciał kilka głosów błędnie napisanych unieważnić, sprzeciwiłem się temu, powołując się na ordynację wyborczą, która mówiła, że głos należy uważać za ważny, jeżeli wyborca i członek komisji wiedzą o jakiej kandydaturze idzie. Tego samego zdania był komisarz wyborczy, który sam kilkakrotnie nazwisko Średniawskiego poprawiał.

Wynik głosowania był taki, że na 516 ważnie oddanych głosów, 506 padło na Andrzeja Średniawskiego, reszta na Sulczewskiego i Łuszczkiewicza. To też jako poseł większości wybrany został przy pierwszym głosowaniu Średniawski, otrzymawszy 7799 głosów, a mianowicie Sulczewskim, a Łuszczkiewiczem odbyć się miały ściślejsze wybory. Wynik był przesadzony na korzyść tego kandydata, za którym oświadczają się ludowcy. Ze względów narodowych należało poprzeć kandydaturę Łuszczkiewicza, chociaż większość zradikalizowanych wyborców stała po stronie socjalisty. Ja sam w Harbutowicach miałem twarde orzechy do zgryzienia, zanim zdołałem nakłonić większość wyborców do głosowania za Łuszczkiewiczem, mniejszość nie wiedziała jeszcze co to jest karności partyjna i oddała głosy socjaliście. Najbardziej bolało to naszego proboszcza, który duchem stał po naszej stronie i nawet przyznawał nam słuszność, ale nie mógł się pogodzić z tym, żeby rolnik głosował na socjalistę, których interesy są sprzeczne.

W ściślejszym głosowaniu wybrano Łuszczkiewicza, ale w Harbutowicach większość głosów na socjalistę padła, bo agitator ich nie zasypiał sprawą i zdołał w Zachełmnej, Baczynie i Palczy większość wyborców pozyskać dla swego kandydata.

Podczas wyborów mogli agitatorzy sporo gotówki zrobić od kandydatów majątnych; my ludowcy pracowaliśmy dla idei, a od naszego kandydata ani wziąć nie mogliśmy, ni on sam dać nie mógł. Dopiero po wyborach zaprosił do siebie wybitniejszych działaczy ludowych i sprawił im skromne przyjęcie w swojej zagrodzie w Górnej Wsi.

W Harbutowicach, prócz mnie, pracowali jeszcze gospodarze: Michał Bogdań, Jan Grolonka, Leopold Kania i Karol Tondyra. Na zgromadzenia jechaliśmy wozem, ci gospodarze bowiem nie żalowali ani czasu, ani koni, ani pieniędzy na sprawę ludową.

ORŁY, SOKOŁY 1910.

Rok 1910 to pięćsetna rocznica pogromu krzyżaków pod Grunwaldem. Ponieważ prusactwo sprzyściło się na naród polski i za wszelką cenę chciało go wypieć. Po Wrześniu przyszła ustawa o wyłączeniu, więc wielki Polak i patriot Ignacy Paderewski własnym kosztem zbudował w Krakowie pomnik grunwaldzki, aby przypominał Polakom chwilę, kiedy pokonane krzyżactwo leżało u stóp naszych. Każda szkoła, każda wioska uroczystość Grunwaldu obchodziła. I my w Harbutowicach obchód taki urządziliśmy. Pierwszy raz też w kościele harbutowskim zabrzmiała pieśń: „Boże coś Polsko!”, odpiewana przez działkę szkolną i młodzież, bo starsi tej pieśni nie umieli. Korona wszystkich obchodów był obchód grunwaldzki w Krakowie, połączony z odsłonięciem pomnika, trwający kilka dni. Główna uroczystość przypadła w dniach 13, 14 i 15 lipca.

W pierwszym dniu uroczystości odbyło się odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego, postawionego na placu Matejki. W obecności Paderewskiego, twórcy pomnika, artysty rzeźbiarza Wiwulskiego, deputacy z całej Polski i tłumów publiczności, odsłonięto olbrzymi pomnik Władysława Jagiełły na koniu, poniżej którego posąg Witolda, spoglądającego na leżące u stóp olbrzymiego krzyżaka. Po bokach alegoryczne figury i napisy: „Pracjcom na chwałę!”, „Potomnym na otuchę!”.

Wśród gości widzieliśmy przedstawicieli całej Słowiańszczyzny, a także Węgrów, tylko Rusinów brakowało. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas wspaniałą melodię „Roty” Konopnickiej, skomponowaną przez Feliksa Nowowiejskiego.

Nie mogąc dostać się bliżej pomnika, nie słysząc wszystkich mów, dopiero docisnąłem się bliżej, gdy imieniem kadetów rosyjskich przemawiał poseł do Dumy Pogodin i poseł do parlamentu węgierskiego, którego nazwiska nie zdołałem zapamiętać, chociaż postać jego ubrana w narodowy strój węgierski dotąd tkwi w mej pamięci.

Drugi dzień był poświęcony głównie popisom sokolim. Ja zaś udałem się na wiec oświatowy, urządzony przez akademicką młodzież ludową z T. S. L. w teatrze ludowym przy ulicy Rajskiej.

Cała olbrzymia sala teatralna napełniła się już przed wyznaczoną godziną uczestnikami, wśród których można było zauważyć liczne rzese nauczycielstwa, włościństwa, młodzie-

ży akademickiej, robotniczej i nieco inteligencji miejskiej.

Wiecowi przewodniczył Franciszek Stefczyk i Jakub Bojko, sekretarzowali nauczyciele: Feliks Koczur i Henryk Kanarek.

Po wygłoszonych referatach rozwinęła się dyskusja, w której głos zabierali przedstawiciele wszystkich stanów i zawodów, działacze oświatowi i polityczni. Pięknie przemawiał Włodzim. Tetmajer, adwokat Moskwa, ale pod względem języka, stylu i sztuki krasomówczej pierwsze miejsce zajął redaktor Jan Dąbski, a pod względem siły argumentów, logiki i treści poseł sejmowy Wincenty Witos z Wierchosławic. Dąbski w swojej mowie zwrócił uwagę na kształcenie charakterów, bo „jak powiedział: narodowi charakterów dziś trzeba. Witos wskazywał na naszych możnowładców, którzy zamiast nieść przed narodem oświaty kaganiec, nieśli kopacą łojówkę, żeby się zdawało, że się coś robi, a nie spoglądali trwóżyliwie w stronę Petersburga, Berlina i Wiednia i przed zaborcami pokornie zginali kolana.

Przy uchwalaniu rezolucji powstał zatarg między przewodniczącym Stefczykiem, a nauczycielstwem, skutkiem czego Stefczyk z przewodnictwa zrezygnował. Wszystkie jednak wnioski i rezolucje uchwalono, a więc zastępcą przewodniczącego Jakub Bojko zamknął zebranie.

Trzeba było drugą noc przepędzić w Krakowie i przenocować się gdzieś pod gołym niebem. Miałem tu wprawdzie kilku kolegów, ale nie znałem ich dokładnych adresów, mogłem pójść do Osuchowskich, ale nie chciałem im się narzucać. Myślę sobie: wieczorem będą puszczać wianki na Wiśle, pójdę tam i mile czas spędzę do północy, a potem siądę gdzieś na ławce zdżemnej się i to mi wystarczy. Tak się też stało.

Na wiankach wdałem się pogawędkę z pewnym lwowianinem, który wyraził żal, że Lwów nie ma większej rzeki, i że we Lwowie wianków urządzić nie można. Końcowym punktem programu wianków było oświetlenie Wawelu, który przedstawiał czarujący widok.

Gdy już tłumy zaczęły się rozchodzić, poszedłem i ja gdzieś głowę skłonić. Na plantach w kątku koło Grażyny usadowiłem się na ławce i zacząłem drzeć. Na szczęście nikt na mnie nie zwracał uwagi i nawet policjant mnie nie zaczepił, bo więcej takich gości było, którzy na plantach noclegu szukali. Wkrótce rozwinęło się, poszedłem więc nad Wisłę umyć się zimnej wodzie i senność znikła. Urządziłem sobie przechadzkę na górę św. Bronisławy, skąd rozciąga się cudownie piękny widok Krakowa i okolicy. Siadłem sobie na ławce dumać. — Z wieży Mariackiej dochodziły tony hejnału, a potem pieśni nabożnych odegranych na 2 trabki. Najpiękniejsza to muzyka, z którą tylko dźwięk dzwonu Zygmunta w porównanie iść może.

Na błoniach formował się pochód, który miał przejść ulicami: Wolską, Straszewskiego, Podwale, Basztową, Floriańską, Ryńkiem i Grodzką na Wawel, gdzie na grobie pogromcy krzyżaków delegacja miała składać wieńce. Olbrzymie bionia zaczęły się zaludniać. Z miasta fiakrami, autami i pieszo dążyli na wyznaczone miejsca zborne: sokoli, strażacy, kolejarze, górale, Krakowiacy, rozmaici dygnitarze, a wszystko w narodowych strojach, kontuszach, czamarach, sukmanach i cukah. Osobno gromadziła się banderia Krakusów w sile 2 tysięcy koni. Nawet zamożniejsze panie i panny przybrały się na on dzień w błękitne lub amarantowe kontusiki i konfederatki, mniej zamożne w stroje ludowe krakowskie, a tylko proletariat w zwykłe miejskie ubrania.

Gdy zobaczyłem nadjeżdżającego prezydenta miasta Krakowa, ubranego w strój polski, zabrałem się ku miastu, aby zabezpieczyć sobie dogodnie miejsce, z którego mogłbym cały pochód widzieć.

Niepodobieństwem było wyliczać wszystkich grup pochodu, które zebrała publiczność. Mniej lub więcej gorąco oklaskiwali. Najliczniejsza bo około 12 tysięcy licząca grupa stanowili sokoli, maszerujący oddziałami. Każdy komendant oddziału, przechodząc koło balkonu, na którym stał Paderewski, komenderował „Baczność! Na prawo patrz!” Oblicza zwracały się w stronę balkonu, sztandary pochylały się, oddając w ten sposób hołd wielkiemu obywatelowi i zasłudze.

Najgoręcej oklaskiwano sokolów wielkopolskich i górnolaskich jako pochodzących z ziem najwięcej na prześladowanie potomków krzyżackich narazonych, a umiających tak dzielnie się bronić.

Oklaskiwano także gorąco czeską grupę sokolą, pozdrawiając ją czeskim: „Na zdar”. Krew w żyłach mroził widok olbrzymiego wieńca cierniowego, spowitego w kajdany, niesionego przez Polki z Warszawy. Ręce składały się do oklasków, lecz wkrótce znieruchomiały, a głos zamierał w piersiach. Poseł Średniawski pokazał mi znanych sobie posłów czeskich, słoweńskich i chorwackich, witał ich okrzykami: „Na zdar”, „Żywio”, a ja mu w tych okrzykach wtórowałem z radości, że w walce z naporem germańskich nie jesteśmy osobońnieni.

Osobną grupę stanowiło Koło Polskie, w którym zgodnie obok siebie maszerowali posłowie różnych obozów politycznych z wyjątkiem posłów socjalistycznych, którzy maszerowali w grupie robotniczej z Daszyńskim na czele.

Nawet ważniejsze ugrupowania trudno wyliczyć, dość wspomnieć, że wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, w pochodzie były reprezentowane. Pochód trwał przez całe 5 godzin, a ostatnie szeregi przemaszowały już o godzinie trzeciej po południu.

Franciszek Kuś

FAKTY I ZDANIA

Skarbiec kultury

Wśród błędnych schematów pojęciowych jest nadal aktualne ujęcie kultury dzielące się na kulturę materialną i duchową. Strona materialna jest konieczna, bo jest, duchowa jest akcydentalna i składa się z elementów pełniących funkcję przede wszystkim zabawowe: teatr, kino, literatura, muzyka, taniec. Oto jest kultura: aktorzy grają w teatrze, muzycy na drzewie, kischkach bydlęcych, rurach metalowych i t. d., literaci zajmują się literaturą, literaci piszą książki. Jedne z tych książek są ładne, inne brzydkie, jedne na poziomie, inne poniżej. Te dobre wzbogacają naszą kulturę, składają się na jej skarbiec. Autorzy tych książek stają się sławni, ich dzieła i pamięć o nich są trwalsze w skarbcu kultury, niż pamięć złych książek. Zainteresowało nas to zjawisko umysłowe, gdyż mamy okazję obserwować je w każdym numerze „Miesięcznika Ludowego” w artykułach Edwarda Marceja. Zastanawialiśmy się, co ono oznacza. Co to znaczy, że pisarze powinni pisać z myślą o stworzeniu wielkiego dzieła, a nie ze względu na przyjemność, lub pożytek? Co znaczy podział literatury na lichą, przeciętną i znakomitą i podział pisarzy na lichych, przeciętnych, znakomitych? Co znaczy, że literaci powinni pilnować przede wszystkim literatury i spraw z literaturą związanych? To znaczy, według nas, że się nie ma żadnej ideologii kulturalnej, że się nie ma nic oprócz mętnego przekonania, że kultura należy upowszechniać.

„Kultura duchowa” jak ją pojmują Marzec, to jakaś wielka zabawa i uczta. Z zawzięcią pisze on, że „ludność miejska żyje kulturalnie, oświeca się i rozkoszuje” podczas gdy chłop, jak dostanie gazetę do ręki zasypia nad nią po całodiennej orce lub młóce. Kulturę się „kosztuje”. Ta terminologia jest znacząca. Długo jeszcze Marzec będzie narzekał na stan kulturalny wsi, na brak urządzeń kultury na wsi, tak długo, dopóki on sam i podobnie myślący nie zrozumieją: 1) że nie ma żadnego skarba kultury, że nie ma kultury w ogóle poza ustrojem polityczno-społecznym, 2) że same urządzenia kulturalne bez ogólnej społecznej koncepcji kultury wbudowanej w ustrój — są bezużytecznym balastem. Edward Marzec dziwi się i ubolewa („Woda w ustach i gadulstwo” — Dziennik Ludowy), że na zjeździe Oddziału Wiejskiego mówiono za wiele na tematy pozaliterackie, kiedy literaci powinni pilnować tylko literatury. Z czego się rodzi literatura? Czy ze słów? Czy z wnętrza duszy? Według nas na zjeździe Oddziału Wiejskiego za mało mówiono o sprawach pozaliterackich, o sytuacji i zadaniach inteligencji chłopskiej, o roli politycznej pisarstwa, o tych rzeczach, które określają miejsce pisarzy chłopskich we współczesnej rzeczywistości społecznej.

A już decyzję, kto z nich wejdzie, a kto nie, do skarba literatury polskiej pozostawmy dobremu duchowi Kazimierza Promyka, któremu koncepcja skarba w jego działalności oświatowo-filantropijnej także nie była obca. Było to blisko 80 lat temu.

Anna Kamińska.

Wiadome dopiero źródło „Nurtu”

Od miesiąca już zapowiadano ukazanie się „Nurtu”, miesięcznika najmłodszego pokolenia literackiego. Wyszedł wreszcie pierwszy numer. Wystarczy spojrzeć na nazwiska młodych pisarzy, by przekonać się, że pismo jest kontynuacją nie wychodzącego już „Pokolenia”. Zmienił się akcent polityczny, zmieniły się wypowiedzi ideologiczne, ale środki literackie pozostały jednak te same. Rozbitki z grup literackich okupowanej Warszawy, z „SiNu”, „Dziwigarów” i z „Drogi” kontynuują swój program artystyczny. Uczniowie awangardy i poetyki francuskich post-nadrealistów przejawiają swoje tradycje we wszystkich wierszach tu umieszczonych. „Odwiedź” Różewicza wręcz można by umieścić w zbiorze Préverta. Najciekawsza pozycja numeru, nie jest jak się spodziewano, wspomnienie Borowskiego, pełne nieoczekiwanej żerozyczyn, lecz „Pocahunek w Hiszpanii” R. Bratnego. Fragment dramatu wskazuje na interesujące założenie utworu. Jest to sztuka z tezą, sztuka usiłująca udowodnić nonsensowność anty-marksiowskiego stanowiska w działaniu i wykazująca nieświadomą akceptację podstawowych tez materializmu przez ludzi pozornie najbardziej mu wrogich. Niewątpliwą pozostawiającą dawną linię dramatyczną jest wprowadzenie na scenę komehtarza do utworu w postaci intermedium. Jest to znany chwyt z eksperymentalnego dramatu we Francji (występuje bardzo często u Giraudoux). Najcenniejszą jednak częścią numeru są przekłady, nie ze względu na wartość tłumacza (przekłady Aragona Ewy Fiszera są niedobre), lecz ze względu na walory rzeczy tłumaczonych. Mamy tu świetne opowiadanie Steiberska, programowy urywek Sartre’a i cykl wierszy Louis Aragona. Jest to próba pokazania polskiemu czytelnikowi wysiłków literatury zachodniej, tak różnej od głównych rysów polskiej twórczości. O wiele mniej poważnie wyszedł dział krytyki. Ten cenzurkowy sposób oceny narzuca nam artykuł Marceja. Oborskiego. Pełno w nim pojęć niesprawdzałych, ocen nie jest znaczących. One to dyskwalifikują wartość całej wypowiedzi. Z pewną przyjemnością odczytujemy potem artykuł W. Macha, na którego tezy na temat zadań krytyki nie zgadzamy się. Można się jednak nad nimi zastanowić.

Tech Budrecki

„Po prostu”

Pisma, które nie reprezentują wyraźnej grupy ideologicznej i których koncepcja kultury odbiega od tradycji kulturalnej swojego środowiska, nie liczą się prawie na rynku kultury i ważność mogą osiągnąć najwyżej po latach — historyczna. Odnosi się to zresztą do wszelkich produktów myśli — przykład — prace kameralisty z epoki stanisławowskiej Nałxa, którego teoria uzdrowienia polskiego przemysłu, posępowa wobec panującego zjokratyzmu nie znalazła uznania wśród społeczeństwa. Po prostu Nałx był prawie sam, nie miał swojej szkoły, swoich wyznawców, nie było ruchu. Jeśli można mówić o pewnych związkach łączących samo pismo z określoną liczbą współpracowników i zwolenników, którym odpowiada ogólny kierunek ideologiczny redakcji, to przecież pismo nie służy samej grupie, ono wychodzi poza nią, oddziałyduje na inne środowiska.

Wznowienie przedwojennego „Po prostu” poprzedziło szerokie ożywienie akademickich ognisk „Życia” rozsyłanych po wyższych uczelniach w Polsce. Praca dyskusyjna w seminariach marksistowskich, współpraca młodych intelektualistów marksistowskich z „Kuznicą” przygotowały grunt i przekonały o możliwości stworzenia własnego pisma. Więcej, przekonały o potrzebie wydawania takiego pisma.

„Jest rzeczą socjologicznie stwierdzoną, że część rewolucja ideologiczna nie nadaje za treścią przemian gospodarczo-społecznych”. („Po prostu” nr 2, A. Slucki). Przyspieszać będzie tę rewolucję „Po prostu” przede wszystkim na terenie akademickim. Wynikają z tego dwie funkcje pisma. Jedną: w oddziaływaniu na inne środowiska akademickie („Wici”, Z.N.M.S.) i poza akademickie (gimnazja, licea) i druga funkcja: stworzenia wyższego studium ideologicznego dla dołów organizacyjnych „Walki Młodych”. Nasuwa się porównanie z „Wiciami” i „Młoda Myśl Ludowa”. W obu wypadkach jest ambicja odskoku o piętro wyżej. W wypadku pism marksistowskich zachodzi różnica poziomów a występuje służba dla jednego systemu. Pisma młodzieżowe chłopskie nie odnalażyły jeszcze swojej linii politycznej, nie spełniają nawet tej funkcji, jaką spełniały przed wojną.

Problemem podstawowym „Po prostu” jest określenie zadań młodej inteligencji polskiej, jej stosunku do współczesności: „Młoda inteligencja polska, która wyzbyła się niejednego kompleksu, która mimo perypetii psychicznych doszła do afirmacji wielkich reform gospodarczych, włączy się także do nowego nurtu życia, duchowego i zajmie czołowe miejsce w dziele odrodzenia kultury polskiej. Im głębiej rewolucja polska zapuszcza korzenie, tym bardziej paradoksalna staje się pozycja człowieka, który aprobując reformę rolną i unarodowienie przemysłu nie rozumie konieczności przemian w treści i formach kultury. Problem ten jest przedmiotem dyskusji wśród młodej inteligencji, jest przedmiotem sporów studenckich. Nie rzadko szafuje się frazesem „życiowości, powszechności” i puszcza się w ruch wszelkie możliwe imponderabilia dla podważania poczynań rządu ludowego w dziedzinie oświaty ludowej na wszystkich szczeblach.

Potrąfimy odróżnić frazesy humanistyczne od rzeczywistych, krytycznych idei humanistycznych, jakie żyją w młodzieży”.

Tadeusz Papier

KOMUNIKAT

Tymczasowy Zarząd Główny Towarzystwa Uniwersyteckiego Ludowych R.P., powstały w wyniku połączenia się szeregu organizacji i instytucji oświatowo-kulturalnych, działających na wsi, zawiadamia wszystkie terenowe ognia organizacyjne tych organizacji i instytucji, iż do czasu zatwierdzenia statutu działalność tych ogniw powinna być prowadzona nieprzerwanie.

Do tego czasu nie mogą być podejmowane żadne poczynania zmieniające dotychczasowy stan organizacyjny na terenie zainteresowanych instytucji i organizacji, a wszelkie projekty w tym zakresie powinny być przekładane do rozpatrzenia Tymczasowemu Zarządowi Towarzystwa Uniwersyteckiego Ludowych R. P., pod adresem: Warszawa — Smulikowskiego 6/8, TUL-R.P.

Za Tymczasowy Zarząd TUL-R.P.
Sekretarz: (Wacław Schayer) Prezes: (Wilhelm Garnarczyk)

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/4 kolumny zł. 30.000, 1/8 kolumny zł. 15.000, 1/16 kolumny zł. 8.000, 1/32 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Więś”. Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.

Konto PKO Łódź VII — 1080.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2. D — 017846